Nr. 7 (1103). Warszawa, dnia 2 (15) Lutego 1902 r. Rok XXII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.
Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki i piątki od godz. 11 do 12 rano.
Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.
Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

TREŚĆ:

POLITYKA.

NOWE PRZYMIERZA.

Dzienniki w Europie nie miałyby ani połowy swoich czytelników, gdyby nie „sensacyjność,“ bez której dziennikarstwo niezależne, nierządowe, obyć się nie może przy zaopatrywaniu rynku ciekawości w swoje wyroby. W zakresie prywatnym i tym społecznym, który podpada pod pojęcie drobnocząsteczkowego, niezbędna ta ingredyencya składa się z odkryć gorszących, z napaści uczciwych lub nieuczciwych, z procesów kryminalnych, rażących dobre obyczaje, z polemik namiętnych, czczych w sobie, ale wydymanych przez egoizm do rozmiarów walki o prawdy światu całemu zbawienie niosące. W zakresie politycznym, dziejowym i historycznym, sensacyjność wyszukuje sobie jakąś tajemnicę nagle odsłonioną, jakąś niespodziankę zadziwiającą, jakiś wniosek, z przesłanek faktów wyciągnięty, nie myślą logisty, ale grubą ręką parobka, jakieś domniemanie lub przepowiednia zmieniająca zupełnie układ sił w świecie dziejowym czynnych — coś, czego przedtem nie było, co ma być zupełnie nowem, zupełnie nieznanem, a tak prawdziwem, jak prawdziwą jest kawa figowa Brandesa.

Od dwóch już miesięcy kołace się po dziennikach, nawet większych, poczytniejszych, proroctwo o zupełnym przewrocie w statyce politycznej Europy. Austrya wychodzi z przymierza z Niemcami i Włochami, Włochy wchodzą w przymierze z Francyą, Rosyą — i Austryą, rzecz prosta, boć przecież jeśli puszcza się jedną dłoń, to tylko na to, aby zaraz pochwycić drugą— *chassé - croisé.* Taryfa celna niemiecka jest tak straszną, a niezadowoleni jeszcze z niej agraryusze niemieccy takie potworne chcą jej nadać kształty, że Austrya nie zdoła już dłużej w przymierzu wytrzymać. Obrażona miłość własna Niemiec, skrzywdzonych oświadczeniem ks. Jerzego Czartoryskiego w sejmie galicyjskim d. 30 grudnia r. z., składkami na dzieci, na ojców i matki wrzesińskie, całą tą „zuchwałą, wyzywającą“ postawą ludności, obojętnością p. Pinińskiego na krzywdę Niemiec i złą organizacyą sejmów krajowych — tak obrażona miłość własna ma Austryi wyjście z rozkosznego przybytku ułatwić. Przygotowują się nowe zupełnie węzły, związki, zrzeszenia — nowe oblicze świata. Włochy dzięki swemu przejściu do Francyi otrzymają Tripolis w Afryce, Albanię, przynajmniej pomorską, w Europie. Mając już układ dawny z Anglią, będą miały w nim ostoję dla siebie, rękojmię dla swych żądz i projektów. Francya dopiero teraz stanie prawdziwie silnie i nad morzem wszechludów i — nad Renem. Niemcy będą zupełnie osamotnione...

Fantazyą więcej dokonać niepodobna. Zadanie swoje spełniła ona uczciwie: tem pewniej można ją na gorącym uczynku głupstwa przytrzymać. Ta sama podróż arcyksięcia Franc. Ferdynanda do Petersburga, dzięki której wieszczbiarze wzmocnili się na pozycyi, wykazuje doskonale całą pozycyi tej kruchość. *Fremdenblatt*, mówiąc o zwrocie w opinii wielkiego mocarstwa, o zwrocie, jak twierdzi, wielkiego znaczenia; *Neues Wiener Tageblatt* sławiąc szczerość przyjęcia i wzywając do utrwalenia stosunków polityczno-handlowych, — nie stawiają wprawdzie tezy nowego przymierza, ale wydają ton, o kilka oktaw wyższy od tego, który bierze sama rzeczywistość. Odwiedziny, jeżeli będą miały „znaczenie wielkie,“ znajdą je tylko w obrębie spraw bałkańskich. Zawarta w roku 1897-ym ugoda o bezinteresowność i bezczynność w roku bieżącym, 1902-im, za parę miesięcy upływa: trzeba ją odnowić, albo na jej miejsce po jednej i po drugiej stronie co innego postawić. Arcyksiążę sam tego nie uczyni, ale do czynu może utorować drogę. Owa pożądliwość włoska, jakoby Włochy w objęcia Francyi rzucająca, niezawodnie była przedmiotem rozmów, a może uwzględnioną będzie przy nowej ugodzie; może dotychczasową zasadę niedziałania jednej strony bez drugiej zastąpi inna: współdziałania obu, dla zaprowadzenia na półwyspie Bałkańskim porządku na dziś i na jutro; może i dynastyczność serbska i monarchiczność bułgarska otrzymają dla siebie nowe linie wytyczne: ale cokolwiek stać się ma i stanie, porozumienie nie utraci miejscowego swego charakteru: będzie dotyczyło półwyspu i potęgi tureckiej.

Niemcy nigdy takiemu porozumieniu na osobności przeciwne nie były, Niemcy nawet do niego Austryę zachęcały. Zapewniwszy jej świetne korzyści w traktacie berlińskim, czuły się zobowiązanemi do osłaniania ich na przyszłość i niewątpliwie ten moment logiczny tkwi w przymierzu z d. 15 października 1879 r. W zamian wzięło państwo niemieckie i potęgę i urok międzynarodowy i samą politykę Austryi w arendę. Kocha ją bardzo i z wielkiej miłości—dusi. Zostawiając jej swobodę na półwyspie Bałkańskim, zarecza jej i stan posiadania dzisiejszy, nie wątpiąc o jej czynnem poparciu przeciw Francyi. Bismarck nie myślał kłaść kości choćby jednego tylko grenadyera pomorskiego za sprawy tureckie; uważał Austryę ze Słowianami za sprzymierzeńca, na którym militarnie polegać nie można: ale nie myślał zrywać przy-

mierza, widział bowiem, że przy środkowej, we dwa ognie biorącej pozycyi pomiędzy Francyą a Rosyą, Niemcy potrzebują koniecznie takiego zespolenia, w któremby Austrya strachem samym, niemocą wskutek swej budowy państwowej i wspólnością interesów obronnych — musiała być niezachwianą, a Niemcy i budową państwową i „bojaźnią bożą“ wyższe musiały mieć rolę przewodnią. Doskonale o tem wiedzą austryaccy mężowie stanu, — wiedzą i godzą się z losem i dobrze czynią. Zerwanie z Niemcami dałoby zamiast jednego, jedynego przyjaciela — dwóch odrazu wrogów. Austryę rozbieraną już od wewnątrz, pękającą i trzeszczącą zwaliłby rozbiór z zewnątrz. Przymierze podwójne, potrzebne dla Niemiec, jest koniecznem dla Austryi. Zalecane przez *Reichswehr* sprzymierzenie się z Francyą nie zmieniłoby nic w grozie jej położenia, do zerwania z Niemcami przywiązanej. Dają Niemcy jeszcze i spokój od Włoch. Wciągnięcie tego mocarstwa do trójprzymierza przez Bismarcka, osłaniając Austryę, jest nowem jeszcze ogniwem w przymierzu podwójnem. Rzeczywiście, Włochy trzymają tylko z Niemcami, względem Austryi są tylko obojętne. Gdyby w Wiedniu o wyzwoleniu się z przymierza niemieckiego pomyślano, Niemcy natychmiast wypuściłyby Włochów na Austryę.

SKANDALE WSZECHNIEMIECKIE.

Wiedeń w styczniu.

A więc Karol Herman Wolf, „ulubieniec ludu niemieckiego w marchii wschodniej,“ został w okręgu miejskim Trutnowskim ponownie wybrany do parlamentu, a w Cieplickim—do sejmu czeskiego! Stracił wprawdzie pareset głosów, które przeszły na stronę kontrkandydatów, umiarkowanych niemieckich narodowców i postępowców, zwyciężył tylko kilkudziesięciu głosami — ale zwyciężył. Nie odbierze więc już sobie życia, co powinno było być logicznem następstwem porażki, ponieważ podczas walki wyborczej, Wolf na każdem zgromadzeniu patetycznie oświadczał, że walczy nietylko o mandat, ale i o honor, a przez to — o życie swoje. Szydzą tutaj, że na przyszłość do koniecznych „narzędzi pracy“ kandydata, oprócz tubalnego głosu, znacznej dozy blagi oraz różnych zalet ciała i ducha, będzie należeć rewolwer, pokazywany w futerale wyborcom, i królik, na którym za pomocą proszka strychniny będzie się pokazywało zgromadzonym, co czeka kandydata w razie niepowodzenia... Jeżeli w dodatku kandydat uwiódł cudzą narzeczonę i w liczbie swych najgorliwszych agitatorek liczy—jej własną matkę, to jest niezwyciężony!

Austryacką awangardę wielbicieli państwa bojaźni bożej i dobrych obyczajów—Prus, ta niezwykła zaiste, tragiczno - operetkowa historya odsłoniła w całej jej „bezczelnej nagości.“ Wszechniemcy, ci stróże moralności, którzy wciąż mieli na ustach „niemiecką czystość i szczerość obyczajów,“ pokazali, co są warci. Wódz stronnictwa, który, korzystając z gościnności towarzysza broni, posła także, dr. Tschana, uwodzi jego córkę, cudzą narzeczoną, i — sam będąc żonatym i ojcem—radzi jej, aby czemprędzej wyszła za mąż za kogo innego... Pożniej, na ślubie panny z tym innym, także członkiem stronnictwa, prof. Seidlem, jest świadkiem i ofiaruje się na ojca chrzestnego... Mąż, Seidl ów, który, dowiedziawszy się o tem po paru latach dobrego pożycia z żoną, nie poprzestaje na pojedynku z uwodzicielem, lecz w specyalnem memorandum całą tę historyę opisuje frakcyi posłów wszechniemieckich w parlamencie, i memorandum to każe podpisać własnej żonie, która w ten sposób sama stawia siebie pod pręgierz publiczny... Inny, widz stronnictwa, Schönerer, sam znany brudas moralny, który część swych milionów zrobił na udziałach w lupanarach, a teraz przez zazdrość do młodego rywala w popularności, chwyta skwapliwie tę sposobność i nie wysłuchawszy wcale obrony Wolfa, każe go frakcyi wykluczyć i moralną presyą zmusić do złożenia mandatu... Ojciec narzeczonej, poseł dr. Tschan, który, nie wypłaciwszy zięciowi Seidlowi obiecanego posagu, występuje teraz przeciw niemu, a w obronie Wolfa, za co też zostaje wykluczony z partyi, lecz mandatu ani myśli składać... *Matka* uwiedzionej, pani Tschan, która także występuje przeciw zięciowi, oskarża go o tyranizowanie córki, o poróżnienie jej z rodzicami, i w listach do gazet usprawiedliwia błąd córki tem, że przecie Wolfowi oprzeć się trudno, i wzywa wyborców, aby Wolfa wybrali ponownie!... I znów musimy wrócić do Wolfa: wódz stronnictwa, który publicznie nazywa zniesławioną przez siebie kobietę kłamczynią i histeryczką, a jednocześnie publicznie przyznaje, że „zbłądził“ z nią (bo wszyscy oni nazywają to sami ciągle błędem!)—ale usprawiedliwia się, że tylko raz jeden, i odwołuje się do pobłażliwości i wyrozumiałości mężczyzn, i po tem wszystkiem krzyczy, że jest *honorowym*, i żeby mu wyborcy, jako sąd honorowy, wystawili świadectwo honorowości wbrew stronnictwu własnemu!! — Doprawdy, nie wiadomo, której z tych wszystkich nadzwyczajnych postaci przyznać palmę pierwszeństwa. Jedynem usprawiedliwieniem wyborców trutnowskich jest chyba to, że Seidl, Schönerer *e tutti quanti* nie lepsi, jeśli nie gorsi od Wolfa... Miejmy nadzieję, że Francuz jakiś zrobi z tego pyszną operetkę.

Swoją drogą, musi w tem wszystkiem być coś jeszcze gorszego, co dotąd na wierzch nie wypłynęło. Dla samej historyi z byłą panną Tchan, a teraźniejszą panią Seidlową, Wolf byłby przecie nie wyrzekł się mandatu na rozkaz Schönerera tak odrazu, bez słowa obrony ani protestu. Musiał on tam inne sprawki mieć na sumieniu, inne cyrografy na siebie wystawić. Niektórzy przypuszczają, że był on, wraz ze swoim dziennikiem *Ostdeutsche Rundschau*, w materyalnej zależności od Schönerera — a teraz musiał znaleźć innych wspierających, więc złamał uroczyste, dane swemu stronnictwu, słowo nie starania się ponownie o mandat poselski, i grozi mu teraz rozłamem.

Wolf wraca do parlamentu, ale bezsilny. Przecie jego wrzasków i prowokacyj już nikt w całej Izbie poselskiej nie będzie brał na seryo, jemu nikt nie da więcej zadośćuczynienia orężnego, którem go przed paru laty hr. Badeni tak niepotrzebnie rozreklamował. Wszelka poważna opozycya może tylko zyskać na pozbyciu się takiego sprzymierzeńca. Sami wszechniemcy mogliby na tem zyskać — gdyby ich grupa składała się z lepszych od Wolfa.

Z.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Podróż domniemanego następcy tronu Habsburgów, arcyks. Franciszka Ferdynanda do Petersburga, gdzie bawił od 7—11 b. m., wywołała liczne komentarze i domniemania snujące nić nowiniarską wrzekomego przerzucenia się

---

7)

M. Grossek.

SERCE.

VI.

Po odejściu matki i Serafiny, Antoni Różyński długo stał jak wryty... W jednej ręce trzymał ołówek, w drugiej poręcz krzesła, za którą się był uchwycił, powstając na przywitanie gościa.

Zdawało mu się, że miał sen rozkoszny, z którego bał się obudzić. W głowie jego myśli szumiały i wirowały jak chmara liści, którą wiatr okręca. W piersiach jak słowik śpiewały mu wciąż jej słowa:

— Jakiż on piękny! Istny Cherubin!..

— Zakochała się w tobie od pierwszego wejrzenia... Kobieta!... pierwsza wyznała ci miłość!—mówiły doń własne myśli, a serce gwałtownie biło i twarz oblewała się szkarłatem. Z uśmiechem i lubością wodził ręką po czole i włosach szukając jakichś subtelnych śladów pieszczoty, która po nich przeszła i lękając się zdmuchnąć jej pyłek...

— Niech dyabli wezmą rysunki techniczne!— niech się zapadnie instytut dróg i komunikacyi! Tu się zaczyna życie—tu się zaczyna miłość!

I dziecinny jeszcze w objawach radości miał ochotę krzyczeć na całe gardło: hej! hej! — hop! hop! — brawo, wiwat! czy coś podobnego. Wypadł z pokoju i po małym, wiśniowym sadku biegał, rzucając się gwałtownie jak młody źrebiec, wypuszczony ze stajni. Śmiał się głośno, gestykulował, aż wreszcie padł na ziemię i zaczął marzyć. Nie widział „Jej...“ nie pamiętał z jej osoby nic, oprócz sukni... Ale niekiedy i to wystarcza. Suknia wyobrażała kobietę, „która zakochała się od pierwszego wejrzenia i pierwsza to wyznała.“ Więcej nic trzeba mu było, aby się także zakochać. Obudzone w kimś uczucie, hołd oddany ich piękności, dla pewnych natur najwyższym bywa powabem. Poddają się mu z bezwładem rozkosznym, niby naelektryzowani przez indukcyę. Namiętność przerzuca się na nich, jak choroba zakaźna, jak pożar z płonącego dachu na sąsiednie. Osoba posiadająca tę najwyższą zaletę, że jest w nich zakochana, może już zresztą być sobie jakakolwiek... Serafina Antoniego bezwarunkowo zachwyci. Czarna czy ruda, podlotek czy dojrzała, trzpiot czy sentymentalna, on polubi to, co w niej znajdzie. Jej typ fizyczny i moralny określi gust jego na przyszłość, nada mu kierunek, zadecyduje, co mu się odtąd w kobietach podobać, a co nie podobać będzie.

. . . .

Tak był szalenie złakniony miłości ten młody Antinous! Dzieckiem jeszcze marzył o kobiecie. Rozwinął się wcześnie i bujnie, a życie systematycznie odsuwało od niego wszelką sposobność zawiązania intrygi miłosnej. On taki piękny i ognisty, pędził szare, jednostajne istnienie ubogiego korepetytora na kondycyi przy dwóch swoich ciotecznych braciach, pod opieką wspólnej ciotki, garbatej, starej panny, która zamknęła ich w klasztornym domu i obwarowała surowym rygorem. Zaledwie można było upolować jakiś epizod w garderobie. Lecz Antoni, wychowaniec kobiet, wykwintniś miał we krwi i marzeniem jego była tylko taka kobieta, której każdy ruch i spojrzenie, każdy gest i wyraz, łaska, miłość, gniew, radość i boleść objawiają się w formach wytwornych. A te kobiety stały tak wysoko i tak były dla niego niedościgłe, jak gwiazdy. U cioci Rózi, prócz kilku księży i tyluż szanownych ruder niewieścich, nikt więcej nie bywał. Na ulicy tylko widywał jak przez szkła cieplarni, te cuda

Austryi od Niemiec do Rosyi. *Journal de St. Petersbourg* wyjaśnia ze stanowiska dyplomatycznego znaczenie tych odwiedzin. Nasz artykuł wstępny usiłuje postawić kwestyę zasadniczo.

Wiedeńska rada państwa w sobotę dnia 15 b. m. ma wziąć pod drugie rozprawy nieszczęsny budżet. Niby lepszy teraz wiatr wieje, ale nie jest on wcale zefirem. Wolf wszedł z całem zuchwalstwem do Izby; gdy wszyscy się od niego odsunęli, zasiadł na ławach tych samych postępowców, z którymi był walczył najzacięciej: tam tylko jeszcze znalazł dostęp. W komisyi budżetowej sprawa szkół ostatecznie załatwiona: Cieszynowi 24,000 koron, upaństwowienie w przyszłości, ale jednocześnie z wzięciem na etat gimnazyum niemieckiego we Frydeku. Klasy równoległe słowiańskie w Cylei przepadły; ale za to Słoweńcy dostaną gimnazyum w Mahrburgu, niewiadomo tylko kiedy i jakie. Dopomogli Niemcom do zwycięstwa Włosi, ale się przeliczyli: nie dostali monopolu w Pisino, przyrzeczonej wzamian za kursa cylejskie. Koerber porozumiewa się z Szellem o układ handlowy i kwotę. Ma nadzieję przebrnięcia przez Izbę z całym swoim ładunkiem prawodawczym.

De-Wettowi udało się wyślizgnąć z osaczenia przez kilkadziesiąt tysięcy Anglików działających współśrodkowo na ogromnej, jak na szczupłe siły dzielnego człowieka, przestrzeni. W nocy z d. 7 na 8 b. m. podzieliwszy swoje maleńkie dwa tysiące na kilka oddziałów, szczęśliwie wydobył się z sideł. Powymykały się z niebezpieczeństwa i drobne gromadki, ale nie bez dotkliwych ofiar: około 300 walecznych poległo lub wpadło w ręce Anglikom, którzy zabrali jeszcze liczne zapasy. Jest to zatem szczęście, ale nieszczęśliwe. W takiem położeniu jak obecne, sprawa stoi bardzo źle. Jaskrawo od tego stanu odbija chełpliwość europejskiej dyplomacyi Boerów, przypisująca gwałtowną żądzę pokoju Anglikom, jako stronie pilniejszej, bo wrzekomo gorzej pod względem wojennym stojącej. Przeciąganie struny jest zawsze niebezpiecznem; po jednym Viljoenie (nie „Villanel“) łatwo może się zjawić drugi. Jeśli Anglia zgodzi się na rokowania pod jakąkolwiek postacią, zrozumienie własnego dobra nakaże je zawiązać. Los, który spadnie w taki sposób, zawsze lepszym będzie od zgotowanego przez kule angielskie ostatnim szczątkom wspaniałego tego zastępu bojowników, od półtrzecia roku świat zadziwiających.

Ministra bulgarskiego Konzewa zastrzelił jakiś nauczyciel wykolejony.

Stany Zjednoczone Ameryki północnej pracują nad projektem praw przeciwko anarchistom; prawa utrudnią immigracyą i pojęcie występku rozszerzą na współdziałanie.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

UCZTA MIŁOSNA.

Berlin 2 lutego.

Opowiadaliśmy niedawno, jak sędziwy historyk rzymski, Teodor Mommsen, opętany przez demonów przewrotu, wystosował odezwę przeciwko wiedzy wyznaniowej skropienej wodąświęconą. Opowiadaliśmy dalej, jak ten nieostrożny i niezołobitny krok przyprawił o ataki konwulsyjne kilka tysięcy pań profesorowych, zwłaszcza zrozpaczonych, odkiedy małżonkowie ich zamykają się tajemniczo na klucz, aby pisać wierszami ody do młodości lub peany wolności. Jeden nawet uczony, specyalista od piramidy Cheopsa, nosi od pewnego czasu ostentacyjnie czerwony krawat. Niestety, proklamacya Mommsenowska pociągnęła za sobą jeszcze smutniejsze skutki. Powszechnie wywołało już zdziwienie, iż na końcu tej odezwy figurował niezwykle sążnisty wielokropek. Wtajemniczeni zapewniali iż hieroglif ten jest niebezpieczną bombą, która wybuchnie dopiero po śmierci Mommsena lub też wtedy, gdy wszyscy uczeni niemieccy będą nosili kagańce i obroże, ostęplowane i ponumerowane w odpowiednim cyrkule policyjnym. Sam Mommsen wszakże milczał. Trzeba bowiem pamiętać, iż pomimo swej waleczności, mąż ten jako porządny obywatel, celował zawsze brakiem cywilnej odwagi. Gdy np. za Bismarcka wygłosił wielką mowę o „nikczemnym dyktatorze“ i był za to przez żelaznego księcia pociągnięty do odpowiedzialności, to przysięgał uroczyście na święte „inscriptiones latinae,“ że właściwie źle go zrozumiano, że miał na myśli dyktatora rzymskiego, którego wprawdzie historycy nie znają, ale o którym przechowują się wiarogodne dokumenty w bibliotece watykańskiej. Oczywiście sąd uniewinnił spokojnego obywatela. To też i teraz, pomimo iż wszyscy czuli, że Mommsen stanął na środku drogi, nie chciał się on ruszyć ani krok naprzód. Na szczęście znalazł się inny, który nazwał rzecz po imieniu. Jest to wiadomo, iż w czasach niespokojnych i niezwykłych taki sam jegomość, co to wczoraj zbywał wszelkie dowody słowami: „E, co tam! Głupstwa, miraże, nicości nad nicościami!“ — z nastaniem fermentacyi gotów wleźć na dach i krzyknąć na cały głos: „Obywatele pięciu części świata, ruszymy natychmiast ziemię z posad!“ Otóż teraz zjawił się taki Filip z Konopi, niejaki prof. Michaelis ze Strassburga; co zaś dziwniejsza, archeolog, a więc przedstawiciel zawodu, który bynajmniej nie usposabia do zapędów postępowych. W ogłoszonym przez siebie „liście otwartym,“ który narobił w Niemczech, a specyalnie w Prusiech, niesłychanej wrzawy, wytknął on człowieka będącego sprawcą upadku i upokorzenia nauki niemieckiej. Jest to prawa ręka ministra oświaty, dyrektor ministeryalny Althoff. Prof. Michaelis rozgłosił teraz w swym liście, jak urzędnik ten, mianujący i zatwierdzający profesorów, traktuje mężów nauki, w jaki sposób znęca się nad nimi, jak daje im nieraz po trzy dni wyczekiwać w swym przedpokoju z napisami na ścianie w rodzaju „Primum vivere, deinde philosophari“ jak ich gwałci i i przekupuje, jak zachęca pośrednio do denuncyowania kolegów, odciąga od polityki itd. Słowem skandal, nad skandalami! „Ein Königlicher Beamter,“ mający nietylko żonę i dzieci, ale nawet już wnuków, przemawia światoburczym językiem, niby jaki gołowąsy młokos. A tymczasem cała rzecz sprawiła w świecie uczonym piorunujące wrażenie; trzeba się było spodziewać, że lada dzień, profesorowie uzbrojeni groźnie w swe parasole, zaleją Lipy i zaczną coś mruczeć pod nosem. Do tego nie należało dopuścić. Althoff zwracał się zatem do swych pupilków, prosząc, aby przez wdzięczność dla swego dobroczyńcy dali odprawę nikczemnikowi, który zbezcześcił i zniesławił na wieki naukę niemiecką ale, dziwna rzecz, wszyscy jakoś się wykręcali od proponowanego im chwalebnego czynu. Dyrektor ministeryalny radził wreszcie „poruszyć Acheron“: niechaj uderzą w dzwon alarmowy obrażonej godności i ułożą generalny adres przeciwko Michaelisowi. Ale Acheron się nie ruszał, a dzwony milczały. Wtedy zawstydzony satrapa naukowy przemówił ustami urzędowej *Nordeutsche Allgemeine Zeitung*. Przedewszystkiem magister dixit: już szlachetnej pamięci Bismarck, gdy docenci opierali się zamianowaniu jego felczera, Schwenningera profesorem, nazwał taką samowolę uniwersytecką „republikanizacyą nauki“ i groził w razie dalszego oporu skazaniem śmiałków za zdradę stanu i dążności antimonarchiczne. Następnie opieka

---

flory kobiecej, które wytwarza wyższa skala życia. Spotykał boginie majestatyczne, przed któremi same uginały mu się kolana, kotki figlarne, wabiące do pieszczot hetery, odurzające go samym szelestem swoich sukien... a czasem zdarzała się taka twarz przedziwnie poetyczna, młodej marzycielki!.. niebiański kwiatek niemieckich romantyków, która jednem spojrzeniem wtajemniczała go w ekstazy poetów. Sam strój tych kobiet był już całym poematem... W przelocie dostawał mu się niekiedy wymowny błysk oka, naiwny zachwyt półotwartych ustek, młoda głowa nawpół utopiona w puszystem futrze, lub kręgiem cieni parasolki objęta mimowoli wykonywała za nim pół-obrót. Lecz konwenanse stawiały pomiędzy nimi mur chiński. Urocze spotkanie przemijało bez śladu... Miłość usuwała się wciąż przed nim w daleką przyszłość.

— Co za głupia piekielna męczarnia! — rozmyślał czasem, wsparłszy piękną głowę na ręku z oczyma utkwionemi przed siebie, gdy wielka, porcelanowa lampa paliła się na stole wśród stosu rozłożonych książek, malcy czubili się ze sobą, lub wrzaskliwie recytowali lekcye, a on puszczał wodze swym myślom, przerwawszy jakieś mozolne wyrachowanie.

— Co za piekielna i głupia męczarnia! kiedy tak szybko bije puls, kiedy kipi w nas życie, kiedybyśmy mogli i umieli być tak szczęśliwi na łonie tej natury, która nas niedawno jeszcze z siebie wydała, w jej pierwotnych, wspólnych wszech - stworzeniom rozkoszach; kiedy nas tak ciągnie do siebie świat żywy, barwny, dźwięczący, plastyczny, świat dnia i prawdy—mieć wtedy duszę przykutą do mar bezcielesnych, do czczych urojeń, które wylęgają się w zwyrodniałych, z obłędem graniczących, profesorskich mózgach, suchych jak drewno, bladych jak szmata wyprana! Któż widział te Sinusy i Cosinusy? — gdzie jest kraina, po której „łażą te galarety“—kończył z goryczą.

— O sfinksy matematyczne dla czego pożeracie naszą młodość!... nacoście wy się przydały?... do wiercenia tunelów i zawieszania mostów nad przepaściami! bardzo to komu potrzebne!... gdy para dzikich w dziewiczym lesie może być tak bez granic szczęśliwą!...

O gdyby choć na jedną chwilę złożyć skroń na piersiach jakiej pięknej! Niechajby nad głowami trzeszczała i waliła się ta stara rudera świata. Niechajby za chwilę przysypała wszystko swym gruzem...

Tem lepiej!

Któżby nie chciał wyzionąć ostatniego oddechu w ostatnim wysiłku rozkoszy. Miłość i śmierć! Czegóż więcej może chcieć człowiek?!...

. . . .

Nie, wszechwładna Pani naszych czasów. Nauka, nie będzie mieć pociechy z Antoniego Różyńskiego. Twórcza dłoń bóstw nieśmiertelnych ulepiła go w innym celu. On Endymion, Antinous, Feb, Apollo, Amor! On żywy, przepyszny kwiat męzkości—radość i zachwyt kobiet. I on wie o tem... i ku tej pierwszej kobiecie, która mu stanęła na drodze, rzuca się z całym impetem swoich lat dwudziestu.

VII.

Zachód się zbliżał po dniu gorącym, ale przez deszcz orzeźwionym... Przezroczystość powietrza dziwnie rozweselała umysł, dając mu złudzenie szczególnie blizkiego i bezpośredniego zetknięcia się ze światem. Przedmioty uwypukliły się, rozsunęły, odkryły się między nimi głębie powietrza, świat się rozszerzył. Oko odbierało obrazy połyskujące, jakby pierwej w lustrze odbite, lub w wodzie spłókane; nawet grube, jak węgiel czarne cienie, na pniach leżące lub pod spryskanymi światłem liśćmi na

państwowa nad nauką może jej wyjść tylko na dobre. Czyż w pewnych uniwersytetach nie powstały rodziny profesorskie, które poobsadzały katedry krewniakami najrozmaitszego stopnia? Czyż nie utworzyły się w każdej nauce kierunki i kliki, które trzymają się oburącz dogmatów i na wieść o nowej teoryi, krytyce lub wątpliwościach wszczynają krzyk i chichot, trudny do opisania? Czyż filozofowie berlińscy nie grozili opuszczeniem swych katedr, gdy ministeryum zamianowało okulistę Helmholtza profesorem filozofii, a jednak ten wykpiwany przez wszystkich „Eskulap“ wyszedł na chlubę wszechnicy berlińskiej i położył nieśmiertelne zasługi na polu nauk filozoficznych. Czyż wydział, mianując prywatnego docenta, nie bierze od niego zobowiązania, iż nigdy nie będzie napadał na „żyjące powagi“? Czyż bez ministeryum chociażby jeden docent otrzymał katedrę, nie żeniąc się z córką profesora albo też narażając na inne czyny nie przynoszące mu z pewnością zaszczytu! Co się zaś tyczy polityki, rzeczy brudnej, nudnej i nieestetycznej, to ministeryum nigdy nie broniło profesorom agitować za marynarką, wojskiem, prawami wyjątkowemi itd.

Profesorowie oniemieli. Gotowi oni byli natychmiast upaść na kolana przed swym zwierzchnikiem i błagać o przebaczenie, a nazajutrz wykonać mu pod oknem serenadę w dowód wdzięcznej zgody. Ale tu wtrąciła się do sprawy wścibska i złośliwa plotkarka, zwana prasą, i o mało nie zburzyła swym nietaktem mostu zgody. Podkreśliła ona, iż właściwie wszystko jest w porządku. Nigdy żaden niezależny myśliciel nie był profesorem: ani Giordano Bruno, ani Spinoza, ani Kartezyusz, ani Locke lub Hume. Już złośliwy Wolter powiedział: „Samotni uczeni, którzy nie wykładali przed ławkami uniwersyteckiemi, ani wygłaszali swych połowicznych rzeczy w akademiach—ci właśnie podlegali zawsze prześladowaniom.“ Kant był wprawdzie profesorem ale o tyle ostrożnym, iż nigdy z katedry nie wykładał własnego systemu filozoficznego lecz przeżuwał stare bzdurstwa.

Pomimo tej prawowierności, musiał na pewien czas zawiesić wogóle ogłaszanie prac filozoficznych, a nawet raz w towarzystwie swego nierozłącznego Lampego ratować się ucieczką. Filozofowi Fichtemu za jego ateizm odebrano katedrę. Profesora Fischera, przyznającego się szczerze i otwarcie do panteizmu, wzięto w 1853 r. za kołnierz i wyrzucono z uniwersytetu. Pięciu najbardziej niezależnych myślicieli nowoczesnych Niemiec: Marx, Schopenhauer, Hartmann, Dühring i Nietzsche nie kroczyło bynajmniej w ordynku urzędowym Prus. Już Apolloniusz z Tiany pisał, iż filozof powinien raczej żebrać na ulicy, niż uprawiać „naukę chlebodajną“ (philosophia mistoforos).

A jakże Schopenhauer w swoim czasie wykpił lokajów w togach! Dlaczegóż—zapytywała prasa—pofesorowie nigdy nie odważą się zabierać głosu w pewnych sprawach? Najwyżej mrukną coś od czasu do czasu pod nosem, przyczem przypuszczają, iż każden nieartykułowany dźwięk jest to wielka skarbnica myśli. Gdy niedawno prof. Paulsen musiał stawać tylko jako świadek przed sądem, to zapytany o własny pogląd na słynną mowę o ścinaniu łbów jeńcom chińskim, trzymał się za brzuch i udawał, iż z powodu niesłychanych boleści, pomimo najszczerszej chęci, odpowiadać nie może. Najwyżej w jakimś niepruskim uniwersytecie uczony ośmieli się puścić parę z gęby. Profesorowie pruscy zato wydają bardzo piękne zbiorki liryczne, w których opiewają woń róży, czar wiosny i potęgę wolności... woli.

Profesorowie osłupieli. Wszystkie te obelgi, plotki i przezroczyste aluzye sprawiały wprost nieprzyjemne wrażenie. Jakiś gryzmoła analfabeta dopuścił się aż takiej impertynencyi, iż zapytywał, czem różni się człowiek frymarczący swą myślą i przekonaniami od prostytutki? Tego doprawdy było trochę za wiele. Trzeba było złe koniecznie jak najprędzej naprawić. Inaczej warcholska prasa pewnego dnia zażąda, aby heraldycy, numizmatycy, leksykografowie itd. wystąpili jednomyślnie w obronie skróconego dnia roboczego. Trzeba było nietylko wyciągnąć się pokotem przed dyrektorem ministeryalnym, Althoffenem, ale wprost publicznie uczcić przed potomstwem jego zasługi. Wyprawiono tedy na cześć jego obiad zbiorowy, który prasa przezwała bądź „ucztą miłosną“ (Liebesmahl), bądź też „Symposion“ na zasadzie terminologii filozofa Platona. Libacya ta zwróciła na siebie uwagę ogółu ze względu na okoliczności, w jakich się odbyła. Profesorowie nie wykonali wprawdzie znanej ceremonii „całowania pantofla,“ praktykowanej w Watykanie, ale zato wygłosili szereg toastów, które, jako „ostatnie słowo“ nauki niemieckiej, stanowią nieocenione *document humain*. Zauważymy, iż sporo koryfeuszów jednak potrafiło uwolnić się od smutnego obowiązku przejścia przez jarzmo. Virchow i Mommsen świecili swą demonstracyjną nieobecnością, tak iż właściwie tylko garstka luminarzy wzięła udział w smutnym i upakarzającym obrzędzie.

„Zebraliśmy się tutaj — wołał socyalista katedralny, słynny ekonomista profesor Schmoller aby zaprotestować przeciwko napaściom prof. Michaelisa i dowieść, iż rządy Althoffa bynajmniej nie są, jak uczony ten mniema, „najczarniejszą kartą“ w historyi administracyi uniwersyteckiej. Mógłbym bardzo łatwo to udowodnić, ale, niestety, przyrzekłem Althoffowi, iż nie będę mu dziś kadził, lecz tylko mówił szczerą prawdę. Trzeba zatem, niestety, wyznać, iż Althoff jest ogromnie nielubianym w kołach profesorskich... Ale kiedyż, panowie, jakakolwiek władza na świecie cieszyła się popularnością? Rezonowanie i rządzenie jest nieszczęsną psychologiczną potrzebą człowieka. Kto musi słuchać, ten zwykle wymyśla... To, co się zwykle zarzuca Althoffowi, są drobnostki, jak np. iż miewa swoje kaprysy lub, że każe ludziom wyczekiwać w swym przedpokoju całemi godzinami. Moi panowie, ja przed nominacyą swoją przez dwa dni czekałem w przedpokoju ministra Falka, a jednak nie szemrałem.“ Tu mówca zaczął wychwalać pod niebiosa Althoffa, przypominając, jak obsypywał szczodrze uniwersytety zasiłkami pieniężnymi, jak łączył energię z dobrocią serca i wreszcie w ten sposób zakończył mowę swą hymnem na cześć oportunizmu wogóle: „Był on zawsze realistą, jasno patrzącym na rzeczy i, niechaj mi wolno będzie użyć tego wyrazu, przed którym może inni się wzdragają — wirtuozem oportunizmu (Virtuose der Oportunität). Zwykle łączy się z tem pojęcie naganne. A wszak nie było na świecie wielkiego człowieka, który nie byłby oportunistą. Czyż Bismarck nie był nim? Czyż cały świat nie nadał tego przydomku Miquelowi? A jednak ten wielki człowiek utrzymywał, iż w Berlinie tylko Althoff potrafił go zakasować. Każdy człowiek ugodowy jest niewyczerpanym w środkach i drogach, poświęca drobniejsze cele poważniejszym, robi ustępstwa, ale wierzcie mi, panowie, że i taki człowiek miewa swoje ideały.“ Gdy mówca wzniósł wiwat na cześć „wirtuoza oportunizmu,“ to rozległ się prawdziwy ryk entuzyazmu.

Co ważniejsza, wszyscy koryfeusze spieszyli jakby na wyścigi w imieniu swojej nauki wypić za zdrowie wirtuoza oportunizmu. Pierwszy wstał słynny filozof pozytywista (Dilthey). W istocie, czyż z punktu widzenia agnostycyzmu, orzekającego, iż nic nie wiemy, czy oportunizm nie jest najrozsąd-

---

wnętrznych gałęziach schowane, miały lustr politurowanego hebanu. Każdy listek, każde źdźbło było bryłą— wszystkie rzucały drobne, siekące się nawzajem cienie. Kwiaty wypalały w powietrzu jaskrawe plamy, jak różnokolorowe, chińskie latarenki. A człowiekowi zdawało się, że miał skrzydła.

Cały zresztą ogródek, opasany azurową wstążką sztachet, pełen zieleni czystej, choć nie bujnej i niezbyt już młodej, z utopionym w niej białym jak serek domkiem, na tem tle blado-turkusowego nieba, z zarysowaną na tylnym planie, ulicą, którą zaznaczał szereg pod górę ku budynkowi fabrycznemu z wysokim kominem wstępujących topoli, stanowił jakąś malowniczą, malutką krainę szczęścia—upragnioną, cichą, idylliczną...

Tak przynajmniej wydawało się Antoniemu, który wzdłuż ogrodzenia szedł ulicą tym krokiem skrzydlatym i tanecznym, jakim stąpa młodość i tryumf—szedł, oczyma plądrując we wnętrzu ogrodu. Jak do dobrych sprzymierzeńców uśmiechał się do altan zacienionych i do wązkich ścieżek, przeznaczając je z góry na scenę swego romansu. Już widział się w myśli depczącym po nich u jej boku. Komponował dyalogi. Siadywał z nią na tych ławeczkach i w cieniu tych altan, przewidywał rozkosze poufałości i zbliżeń.

Wreszcie zobaczył Serafinę.

Jasna jej suknia, mocno w słońcu błyszcząca, jak fosforyczny płomyk, chwiała się nad zagonem kwiatów. Głowę miała spuszczoną, w ręku trzymała wysoką, złotą lilię, którą co tylko była ustrzygła. Stal nożyczek błyskała w jej palcach, kwiaty wokoło szeleściały i trzęsły się potrącone, jakby czując śmierć przechodzącą mimo. W lewej garści miała już zebraną sporą wiąż heliotropów, lewkonij, gwoździków i róż. Jej blaskiem słońca pozłocona figurka migotała w oczach, idącego szybko za ogrodzeniem. Sztachetki przesuwały się po niej pasami cienia i powietrza, kryjąc ją i odsłaniając kolejno, niby odbitą w wodzie bieżącej, której gra skupiała i łamała jej zarysy, męcząc oko i drażniąc wyobraźnię.

Na ręce jej zatrzymał usta przez chwilę... obliczalnie krótką!... która jednak dała się jej wyczuć. Czekał... tej pieszczoty, która go wczoraj w niebo wzięła... i która nie nadeszła! Wtedy oboje cofnęli się zdziwieni. On zawiedziony — ona nie pojmująca jego zachowania. Salonowiec jednak z rasy i wychowania, aby zatrzeć niefortunne pierwsze wrażenie, rzucił się, jak na skinienie wodza ostatnie marne żołnierzysko, służyć jej przy zbieraniu kwiatów. Wtedy zauważył z wielkim żalem, że nie byli sami. Pod szpalerem dzikiego wina, w zaciszu małych krzewów, otoczona kwitnącymi klombami siedziała w kuczki na ziemi kobieta sucha i żółta. Po nad świetnemi koronami kwiatów pochylała się jej głowa, podobna do uschłego kwiatu, który zwisł na złamanej, żylastej łodydze szyi. Okrywająca ją biała chustka, mocno świecąca w słońcu, rzucała na twarz plamy grubego cienia, które niemiłosiernie ostro uwydatniały jej jamy i kości. Zimno ogarniającej ją śmierci wypędzało ją na tę ulewę słoneczną, która paliła i odstraszała wszystko, co przed nią mogło się schronić. Była to chora Bejla.

Doktora doprowadziła do ostatniej pasyi ta suchotnica, która nie mogąc już wyzdrowieć, upierała się przy życiu! „Waryatka czy co? —grabarza jej trzeba nie doktora! Czemu to łazi rozdzierać uszy kaszlem — chodzący rozsadnik mikrobów“! Wreszcie przez drzwi swego gabinetu, za które ją poprzednio był wyrzucił, wrzasnął jej na odczepne aby siadywała na otwartem powietrzu i piła mleko. Odtąd w ogrodzie Serafiny można ją było widzieć codzień, na jednem zawsze miejscu, gdzie rosły najpiękniejsze kwiaty, gdzie najsilniej

...jną zasadą życiową, a bunt profesora zarozumiałego przeciwko władzy nie jest nonsensem. Drugi przemawiał słynny anatom (Waldeger). Dał on prawie do zrozumienia, iż przystosowanie się do warunków bytu, będące jedynym postępowym czynnikiem w rozwoju biologicznym, nie jest właściwie niczem innem, jeno oportunizmem w obszernem tego słowa znaczeniu. Tu wstał filolog, piewca Sokratesa (Williamowitz v. Möllendorf), on, który w tak piękny i wstrząsający sposób opisuje na swych wykładach publicznych śmierć Sokratesa, iż wywołuje niekiedy płacz w audytoryum, teraz znowu mówił o swym ubóstwianym filozofie. „Panowie — wołał — dlaczegóż Sokrates wypił cykutę: czyż nie dlatego, aby pokazać uczniom, iż należy ulegać woli swej władzy? Piję zatem na cześć Sokratesa i innych oportunistów.“

H. F.

FEJLETON.

Publiczność kulturalna na dramacie.

Mieszkam stale w mieście, które nie bez pewnej słuszności uchodzi za pół dzikie. Gdy więc interesy pognały mię do Warszawy, jechałam z radosnem drżeniem serca, spragniona wrażeń artystycznych i estetycznych.

Miałam do rozporządzenia trzy dni tylko i w drodze już układałam sobie, jak ten czas spędzę najprodukcyjniej.

Jadąc do hotelu, kupiłam *Kuryera*.

W Rozmaitościach „Złote runo.“

Świetnie się składa! Tyle się o tem czytało i słyszało sądów najsprzeczniejszych! Jedni bezmiernie chwalą, drudzy — ganią bez zastrzeżeń.

Pędzę do kasy.

— Proszę pani, jedno krzesło w dalszych rzędach.

— Zabrane.

— Więc może jest balkon?

— Niema.

Mam widocznie minę tak zafrasowaną, że aż się użaliła nade mną gruba jejmość za okienkiem.

— Może pani życzy sobie loże?

Nie życzę sobie i po chwili namysłu jeszcze raz próbuję.

— Jedno miejsce w pierwszym rzędzie galeryi, proszę pani.

Dama zaczyna się niecierpliwić.

— Pierwszy, drugi i trzeci rząd wzięty. Nie, jest miejsce w trzecim!

I widząc moje wahanie, przecina sama kwestyę.

— Proszę!

Wyrwany bilet leży przede mną. Płacę i ustępuję przed napierającą falą ludzi. Cieszę się, ale średnio. Wiem cośkolwiek o tem, co to jest galerya tam u nas: bezpośrednie sąsiedztwo niepachnących butów, otoczenie umiarkowanie wykwintne... Ale cóż począć! Trzeba złożyć tę ofiarę na ołtarzu sztuki, bo warto posłyszeć Przybyszewskiego i artystów warszawskich.

Wychodzę i pod kolumnami teatru spotykam znajomego.

— Moje uszanowanie pani! Skąd się pani tu wzięła?

Kapelusz zsunięty z fantazyą, wąsy z warszawska rozstrzępione, — szyk, ani słowa.

Rozmawiamy chwilę, ale że niewiele mam czasu, zaczynamy się żegnać. Młody pan pyta jeszcze:

— Pani pewnie po bilet. Dostała pani?

— Dostałam, ale trzeci rząd galeryi! — odpowiadam z miną rzadką.

— Upewniam, że będzie pani zadowolona. Doskonale widać.

— Ale towarzystwo...

— Cóż, towarzystwo? — oburza się. — Niech się pani nie wydaje, że to Żytomierz albo Kijów! To, pani, Warszawa! publiczność kulturalna!..

* * *

Pięć minut przed ósmą jestem w teatrze. Rozbieram się z tem niemiłem uczuciem, że będę musiała ugniatać ludziom kolana i nadeptywać odciski.

Wchodzę. Nic z tego! Pustka aż miło. Krzesła zrzadka zajęte, w lożach jak wymiótł. Na balkonach i na galeryi kilkanaście osób. Na paradyzie gęściej.

Co u licha? Widocznie znacznie później zaczynają.

Gdzież tam! Punkt o ósmej odzywa się orkiestra.

Mam numer dziewięćdziesiąty pierwszy. Ostatnie miejsce w części środkowej, przy samem przejściu.

Przede mną puste ławki. Domyślam się, że tam rozsiądą się kapelusze, które mają być klęską teatralną. Moje miejsce jednak jest wyjątkowo dobre. Nie potrzebuję patrzeć ponad głowy sąsiadek, bo mogę widzieć scenę w przejściu. Ławki zapełniają się powoli.

Za mną, pod ścianą, jakiś siwy pan, z wiejska wyglądający, wpatruje się w afisz, przeciera lornetkę, przykręca ją. W twarzy ma wielkie, skupione oczekiwanie.

W pierwszym rzędzie para: młoda pani i elegant ze szkiełkiem i grzywą rozczulającą. Rozdziela ich przejście, ale czy taka nędzna rzecz, jak droga, może stanąć na przeszkodzie wyrywającej się duszy? I dusza ta rozkłada się na poręczy w pół leżącej postawie, zasłaniając ludziom kawał sceny i zaczyna flirt.

— Ej, cofnie się pewnie, gdy zaczną grać — pocieszam się w duchu.

Z drugiej strony przejścia zgarbiony pan w średnim wieku. Widocznie zreumatyzmowany. Boi się przeciągów i wściekle się odwraca po każdem skrzypnięciu drzwi, wlepiając w nowego przybysza przekrwione białka. A drzwi te wciąż skrzypią i płyną przez nie fale takich pań i panienek, „o jakich się nie śniło naszym filozofom.“

Jedwabie! koronki! gipiury! aplikacye! Szeleszczą! błyszczą! skrzą się! dzwonią! A fryzury! wełutiny! zapachy wszystkich kwiatów! A ja się bałam juchtowych butów!

Takie ładne albo wykwintne rysy! Takie kształtne figurki! A mężczyźni? Po większej części młodzież ucząca się. Studenci, politechnicy. Jest dużo jakichś innych także. Ci, inni mają niektóre wspólne cechy. Wszyscy noszą bardzo wysokie i bardzo połyskliwe kołnierze, bardzo misterne przedziały we włosach i wąsy w jednaki sposób podczesane z warg do góry.

Przez nozdrza wciągam jockey club i vera violetę, przez uszy wchodzą urywki żywych rozmów i przekomarzań się młodzieży, oczy pieszczę wszystkimi kolorami tęczy na sukniach moich sąsiadek. Używanie dla zmysłów, no i co tam wiele mówić! Miał słuszność mój znajomy. „Publiczność kulturalna“!

Moc miejsc jeszcze niezajętych, a wkoło gwar aż ogłusza. Zaczyna mi się robić trochę niewyraźnie.

Orkiestra milknie, przyciemnia się światło, i bez szelestu kurtyna idzie w górę.

Na scenie Rębowski, Ruszczyc i Łacki piją kawę i palą. Leszczyński świetnie ucharakteryzowany zaczyna mówić. Widzę, jak porusza ustami, śledzę przez lornetkę wyrazistą grę twarzy, ale na tem koniec. Nic słyszę ani jednego słowa.

A wkoło szumi fala ludzkich głosów, drzwi skrzypią, wchodzący, stukają nogami.

---

piekło słońce w południe, siedzącą w kuczki, zgarbioną, wysuwającą kolejno na słońce piszczele swe, obwinięte w gałgany. Po każdym ataku kaszlu, trzęsąc się z pośpiechu i chciwości, przytykała do ust butelkę z mlekiem. Zresztą siedziała cicho i bezczynnie, ze złożonemi na kolanach rękami, których nabrzękłe, grube żyły dygotały od uderzeń pulsu. Nie mówiła nic nigdy do nikogo, a jeśli kto blizko przechodził, kurczyła się i jeszcze niżej przygarbiała, jakby chciała zająć jak najmniej miejsca w powietrzu i na ziemi. Jedną tylko Serafinę witała położeniem ręki na piersiach, niedokończonem westchnieniem, milczącem poruszeniem warg lub cofała się przed nią tyłem, bijąc w pas pokłony.

Jakiem było to życie, dziś już skończone? Czy handlowała starzyzną, czy galanteryą? — może oszukiwała na łutach i groszach? — mistrzowsko robiła pończochę, szwargocząc przez cały dzień z sąsiadkami przed sklepem? — z namiętnością żydówki kochała swe umorusane dzieci? Dziś wszystko było już dla niej obojętne! Kochała jeszcze na ziemi jedno tylko — słońce! Jej czarne, duże, wschodnie oczy, do których zbiegła się cała młodość, wypłoszona ze zniszczonej twarzy, niewypowiedzianie smutne i słodkie przesuwały się po świecie z rozrzewniającem upodobaniem człowieka, który żegna. Gdy wieczór nadchodził, wzrok Bejły stawał się posępny. Noc zapędzała ją do ciasnej, wilgotnej nory, pełnej zaduchu i nędzarzy nieczułych na cierpienia, gdzie piersiom jej było tak trudno oddychać, gdzie się wzmagała gorączka, przynosząca ze sobą wizye męczące.

Jedyną jej pociechą wtedy były te kwiaty, które dostawała na odchodnem, które przyciskając do piersi, unosiła ze sobą do domu przez pylne smrodliwe ulice i podwórka, chwiejąc żałośnie głową i stękając. Może ich aromaty odpędzały przykre wonie, może ich widok wśród tortury nocnej był zadatkiem jeszcze jednego jutra, które powrócić jej miało słońce.

To też z łaknieniem i niecierpliwością dziecka ścigała oczami palce Serafiny, wiążące bukiet dla niej.

— Dla kogo są te kwiaty?!..—pytał Antoni.—Dla kogo?!.. —powtórzył, myśląc, że źle usłyszał...

— Dla Bejły?!.. dla Bej-ły?!.. dla tej?... Storczyki, gardenie i alpejskie fiołki, które on tak starannie dobierał!

— Dla tej... Mistyfikuje mię pani!

Uwierzył wreszcie i z komiczną zgrozą zatoczył swemi wielkiemi, świetlistemi oczyma. Ale w tej chwili na znak nieograniczonego poddaństwa skłonił się Serafinie, jak komuś, co ma przywilej być niedorzecznym, nie przestając być dla tego naszym władcą zachwycającym! I zaprawiając żartobliwem błazeństwem swoją misyę, wręczył kwiaty tej gałganiarce z tak wyszukaną grzecznością, jak gdyby składał w najpiękniejsze rączki wielkiej damy. Lecz zaraz potem wyraz drwiący zaczął szybko znikać mu z twarzy, która nagle spoważniała...:

W jakim stosunku mogła być ta scena do jego najmilszych nadziei? Zdawało mu się, że jakiś wyniosły, a chłodny powiew zdmuchnął mu ją z przed oczu w jednej chwili i lodem ściął serce... Czy spostrzegł się, że jest jakaś nieodpowiedniość, jakieś niedopasowanie psychiczne pomiędzy jego marzeniami o tej kobiecie a nią samą, zrywającą kwiaty dla Bejły?.. A jednocześnie to samo wrażenie, które tak szorstko ochłodziło mu zmysły — umysłowi jego dało początek nieznanego dotąd moralnego zachwytu.

Dotknął go pierwszy powiew jej duszy!..

(C. d. n.).

Z hałasem wyszukują swych miejsc, sprzeczają się ze służbą, witają się ze znajomymi przez głowy nieznajomych w przejściu, w dalszym ciągu lokuje się flirt. I tak się ci ludziska urządzają bez ceremonii, jakby byli na swych śmieciach, a na scenie nic się nie działo.

Po nad tym gwarem całym unosi się silny, smutny głos Ruszczyca: — I czemu to zrobiłeś?

Co Rembowski zrobił? Co zrobił?

Nic nie wiem, ale to zupełnie nic. Domyślam się tylko, że coś grubo niedobrego, bo miny obu rozmawiających są posępne i pełne grozy.

Znów hałas, znów szastanina, właženie na nogi i kark. Ruszczyca głos panuje na chwilę:

— A jeżeli się nie umie kłamać, to milczeć! milczeć!

— Och, gdybyż to milczeli!—powtarzam w duchu.

Pan z reumatyzmem zaczyna się wściekać. Niedość przeciągów, jeszcze i słyszeć nie można! Staje w ławce i z całą pasyą krzyczy:

— Cicho!

— Cicho! cicho! rozlega się z rozmaitych stron.

— Cicho! — huczy za mną niemłody wieśniak o poważnej twarzy.

Zaczyna ucichać.

Wchodzi Irena. Ona i Rembowski rozmawiają, a ja dopiero teraz zaczynam chwytać treść. On mówi o bliźnich drzewach australskich, ona mu opowiada skandynawską bajkę o bengach; ale właśnie wtedy, gdy Siennicka mówi z goryczą o biednej kobiecie, która obronić się nie może i nie będzie mogła, bo nie wie, skąd napaść przyjdzie, słowa jej są jakby proroczemi dla mnie, bo w tejże chwili słyszę przy uchu dosadny szept: „Przepraszam panią, numer dziewięćdziesiąty pierwszy“ — silne ramię wypycha mnie bez ceremonii przez pręt żelazny do przejścia, a na mojem miejscu zasiada tryumfalnie wielka góra, obciągnięta czarną satyną. Nad górą parę upudrowanych podbródków i dwupiętrowa fryzura.

— Ależ to ja mam numer dziewięćdziesiąty pierwszy!

W głosie moim widocznie dźwięczy silny akcent prawdy, bo czarna dama spoziera na swój bilet. Ma dziewięćdziesiąty. Omyliła się o jedność tylko i bez słówka przeproszenia sunie się po ławce na miejsce właściwe. Nie mieści się na niem więc kawał mojego zabiera.

Wracam do Przybyszewskiego.

Na scenę wchodzi Przecławski, lecz właśnie wtedy, gdy on mówi: „Wiesz, u nas, literatów, to strasznie trudno roztrzygnąć, co moje, a co twoje“—wsuwa się całe towarzystwo, które, jak się okazuje z ich głośnego opowiadania, spóźniło się dlatego, że te panie stały u wejścia na bal maskowy, aby kogoś znajomego zobaczyć.

Kwestya szóstego przykazania w literaturze pozostała dla mnie nierozstrzygniętą.

Znów się nieco uspakaja. Oglądam się po za siebie. Mój siwy pan, skupiony w sobie, wlepił oczy w scenę i słucha, słucha! Przecławski kusi i kusi, aż w końcu nieszczęśliwa kobieta ze łkaniem rzuca mu się na szyję.

— A! niech się stanie! w przepaść, w piekło — byle z tobą.

Koniec aktu. Dużo osób wychodzi. Wieśniak siedzi, jakby wrósł, a na wyrazistej twarzy widać wielkie niezdecydowanie. I żal mu kobiety, i nie zgadza się na takie rozwiązanie sprawy. Oglądam się wkoło, ale już znacznie mniej zachwyconym wzrokiem.

Trochę z boku dwie panny, widocznie siostry, bardzo anemiczne i bardzo chude. Jasne włosy w secesyę. Niech tam już! Ale tu na lewo secesya także, na takiem rozlanem cielsku! Słyszana to rzecz? Sześciopudowa secesya!

„Ach! tyle w oczach i w sercu goryczy!“

W czasie antraktu weisnęło się nowe towarzystwo, które prawdopodobnie gdzieś miejsca mieć musiało i bez ceremonii stanęło w przejściu. Ostatnia była panna w niebieskiej bluzce. Przed podniesieniem kurtyny woźny przychodzi i mówi dobitnie:

— Proszę iść na miejsce! Nie wolno stawać w przejściu!

Panna ogląda się obojętnie, jak gdyby to się jej nie tyczyło i nie rusza się z miejsca.

Przede mną trzy kapelusze, ale myślicie może, że takie zwykłe nakrycia głowy? Gdzież tam—nadkapelusze! A więc przede mną wiszące ogrody, ogony strusie, ptaki wypchane. Przejście literalnie zatłoczone. Nietylko nie słychać, ale już i nie widać!

Głód artystyczny zwycięża altruizm i niewiele myśląc, wstaję w ławce.

— Proszę pani! — woła rozpaczliwie szlachcic za mną.

Schylam kark, aby mógł widzieć ponad moją głową. Nie powiem, aby pozycya była bardzo wygodną, ale żal mi starego. Ten traktuje dramat na seryo.

Tam wre odwieczna walka o kobietę. Rozlega się tragiczny szept męża.

— Inka! Inka! — woła kochanek.

Irena na klęczkach przed Rembowskim prosi z rozpaczą:

— Och, puść mnie, puść! Pozwól mi iść! Jam ciebie niewarta! niegodna! Stratuj mnie, odrzuć, przeklnij, ale pozwól mi iść! Będę cię błogosławiła! u nóg twych proch włosami zmiotę, tylko puść mnie!

Straszne, okropne łkanie rozrywa jej piersi.

— Czy ona klęczy? — pyta mnie nad uchem głos kobiecy!

— Klęczy! — upewniam.

Ale sąsiadka z za pleców chce się sama przekonać. Czuję na ramionach dwie dłonie, które przyjacielsko a silnie uchylają mnie na lewo. Na miejsce mojej głowy wsuwa się głowa jakiejś miłej damy.

— Moja kochana pani! — mówi w rodzaju kompensaty.

Teraz więc mam kręgosłup skrzywiony w dwóch kierunkach: zgięty w karku dobrowolnie przez wzgląd na starego sąsiada i wykręcony na lewo przez uprzejmą panią.

Ruszczyc z rozszerzonemi grozą źrenicami opowiada Irenie:

— I te oczy roztwarte — słupem stały. I taki okropny, przerażający ból i rozpacz! To się tak mści, tak się mści!..

Nic nie wiem, czyje to oczy, i co się mści, bo dwie panny szepczą wyraźnie:

— Popatrz! ona bez gorsetu. Płaska w biuście i gruba w pasie.

Jakiś młody człowiek, stojący na ławce, udziela objaśnień dwom mniej szczęśliwym kolegom:

— Brzydka, mówię wam! Kompletnie brzydka! Mają się też o co ciągać! — Rozczarowany zstępuje ze swej uprzywilejowanej pozycyi.

Na scenie dzieją się jeszcze rozmaite rzeczy pewnie ciekawe i zajmujące, ale we mnie ciało bierze przewagę nad duchem. Boli mię kark, boli bok, czuję się zbitą i zmęczoną. Rezygnuję, chcę usiąść i siadam na butach jakiegoś pana, który stoi na mojej ławce. Zrywam się przerażona, a pan przełazi spokojnie przez baryerę i ginie w morzu głów.

Ostatni akt przechodzi względnie znośnie, słuszność nakazuje mi to przyznać, bo przecież nie warto wspominać o tak drobnym epizodzie, jak wypchnięcie mię jeszcze raz z siedzenia przez satynową sąsiadkę. Trudno! Zgubiła coś pomiędzy ławkami i musiała szukać, a że mnie wysadziła w sposób niecałkiem parlamentarny, to już kwestya zapatrywania się osobistego i gustu. Jedni w takich wypadkach przepraszają, drudzy — nie.

Scena ostatnia stracona, bo moc przezornych słuchaczów odbiera rzeczy z garderoby i wnosi całe tłomoki pomiędzy ławki.

Epilog dramatu, wystrzał, którym Rembowski odbiera sobie życie, wywołuje najwspanialszy efekt. Ruszczyc z krzykiem rzuca się do drzwi, a publiczność ciśnie się ku wyjściom. Przy baryerach tłok. Z numerem w ręku czekam kolei i rozglądam się po otoczeniu.

Taka radość, takie ożywienie, jakby po najlepszej farsie. Same uśmiechy, same wesołe słówka.

A niechby się zamyślili bodaj na chwil kilka!

Przez trzy akty patrzyli na umęczone ludzkie dusze, potargane istnienia, krzyczących wśród cierpień. Odwieczne, nieubłagane fatum miażdżyło, tratowało, a ci się śmieją jak za najlepszych czasów!

Jestem już przy baryerze i, wkładając okrycie, potrącam kogoś. Spoglądam — to mój siwy wieśniak stoi przy ścianie. Oczy utkwione w przestrzeń. Szare, wypełzłe źrenice patrzą przed siebie z bezmiernym smutkiem. A wyraz całej twarzy taki uroczysty, taki niecodzienny!

Wychodzę i wciąż przed sobą widzę tę starą głowę prześliczną zamyśleniem i powagą.

A „Złote runo“?

Pozostało mi o niem „pojęcie ogólne,“ ale to tak bardzo „ogólne,“ że aż muszę kupić dramat i przeczytać.

Ciekawa jestem, jak się urządzają recenzenci teatralni. Prawda, oni pewnie nie siadają w trzecim rzędzie na galeryi.

A jednak i tu bywają ludzie, którzy chcieliby coś widzieć i słyszeć.

W mojem dzikiem mieście publiczność na górze nie pachnie heliotropem, ale za to z zapartym oddechem śledzi akcyę na scenie. Raduje się i płacze, śmieje się i cierpi razem z artystami. A głównie uważa i innym uważać pozwala.

Inaczej „publiczność kulturalna.“

Ha, trudno! Widocznie co kraj, to obyczaj.

Marya Zagórska.

BADANIA NAUKOWE.

HISTORYA.

Dr. Maksymilian Gumplowicz: *Żywot Balduina Gallusa biskupa kruszwickiego* (1066—1145). Z teki pozgonnej (odbitka z *Ateneum*). Warszawa, 1901. Skład główny w księgarni E. Wende i S-ki. — 8-o, str. 41.

Zmarły przedwcześnie, młody i utalentowany historyk, Maksymilian Gumplowicz, pozostawił w tece wiele prac zaczętych, które obecnie ojciec jego, Ludwik, profesor uniwersytetu w Grazu, kolejno ogłasza. Wymienione w nagłówku studyum drukowane było w roku ubiegłym w *Ateneum*, teraz zaś ukazało się w oddzielnej odbitce.

Cokolwiekbądź mogliby zarzucić Gumplowiczowi historycy-pedanci, nadużywający ścisłości metody historycznej, jednego mu nie odmówią: niezmiernej bystrości i przenikliwości w zestawianiu i wyjaśnianiu źródeł historycznych. Już dawniej złożył on tego dowody w rozprawie, dotyczącej t. zw. Gallusa, pierwszego naszego kronikarza (Sitzungsberichte der k. k. Akademie zu Wien, 1895), gdzie postawił śmiałe przypuszczenie, iż ów tajemniczy Gallus był biskupem kruszwickim około r. 1111, pochodził z Flandryi, powołany był do Polski przez Habdanka na stanowisko opata lubińskiego i nosił imię Balduina. Rozprawa „Żywot Balduina Gallusa“ idzie da-

lej jeszcze w rozpraszaniu mroków, otaczających autora „Kroniki.“

Bezpośrednich źródeł do jego życiorysu nie udało się znaleźć Gumplowiczowi; wszystkie więc wyniki jego dociekań są tylko hipotezą, ale hipotezą mającą wszelkie pozory prawdopodobieństwa. Autorowi staje tu na zawołanie nadzwyczajna jego rzutkość w budowaniu misternych gmachów domniemań historycznych. O losie Gallusa przed jego przybyciem do Polski, jak również o żywocie jego po r. 1111 nie wiemy nic zgoła i nic pewnego prawdopodobnie nigdy nie będziemy wiedzieli. Ale wiemy zato o dwóch innych Balduinach, z których pierwszy *tajemniczo* niknie około roku 1098, drugi zaś również *tajemniczo* wypływa w r. 1130; pozostaje więc przypuścić, że trzej ci Balduinowie byli *jedną* osobą, a zagadka historyczna zostanie rozwiązana.

Pierwszy z nich to Balduin II, hrabia Hennegawii, syn Balduina VI, hrabiego Flandryi, i Richildy, hrabianki Hennegawii, urodzony w r. 1066; po śmierci ojca został on w położeniu bez wyjścia. Flandryę odebrał mu wiarołomny opiekun, Robert Griso, a Hennegawię musiał oddać w lenno biskupowi leodyjskiemu. Nie z chęci wielkiej, lecz poprostu z biedy wyruszył on na wyprawę krzyżową pod wodzą Godfryda de Bouillon i pod Antyochią w tajemniczy sposób zniknął: zginął czy dostał się do niewoli? Gumplowicz stawia trzecie jeszcze przypuszczenie: sprzykrzywszy sobie trudy wojenne, powrócił do Europy, a nie mając co robić w ojczyźnie, wstąpił do zakonu benedyktynów i dostał się do Polski, gdzie zastajemy go w r. 1111 na stanowisku biskupa kruszwickiego. Dowody na to Gumplowicz znajduje w samej kronice Balduina Gallusa: 1) zna on geografię Węgier i krajów ościennych, przez które powracał z wyprawy krzyżowej; 2) szczególnie barwnie opisuje szturmy i oblężenia, jak również daje plastyczny obraz ruin Troi (wrażenia z Azyi Mniejszej; 3) między bohaterami starożytności wymienia Antyocha (wspomnienie z pod Antyochii); 4) w stanie duchownym był widocznie nowicyuszem i niedawno zrzucił hełm dla przywdziania kaptura itd. Wszystkie te dane pozwalają Gumplowiczowi zlać w jedną osobę Balduina, hr. Hennegawii i Balduina kronikarza. Powtarzamy, nie jest to dowiedzione z matematyczną ścisłością, ale ma wszelkie cechy prawdopodobieństwa.

To samo, w znaczniejszej jeszcze mierze, można powiedzieć o drugiej części rozprawy, gdzie historyk stawia jedno jeszcze przypuszczenie: że kardynał presbiter Balduin, późniejszy arcybiskup pizański (zm. 1145 r.), który pojawia się ni stąd, ni zowąd w otoczeniu papieża Inocentego II około r. 1130, jest tym samym Balduinem Hennegawskim, który po roku pobytu w Polsce ustąpił z biskupstwa kruszwickiego i pojechał szukać lepszego losu w Rzymie. Tu już znacznie mniej danych, stwierdzających powyższą tożsamość: chciwość, którą zauważyli zarówno historycy polscy u Balduina kronikarza, jak i włoscy u Balduina arcybiskupa pizańskiego, a także staranne ukrywanie przez tego ostatniego swojej przeszłości (nie darowanoby mu ucieczki z pod Antyochii), nie są to jeszcze dowody w całem słowa tego znaczeniu.

Choćbyśmy nawet nie przyjęli wniosków autora w całej ich rozciągłości, w każdym razie przyznać musimy, że domysł jego przeprowadzony jest świetnie: niema w całokształcie jego budowy historycznej ani jednej skazy, ani jednego szczegółu, któryby rzucał się w oczy nieprawdopodobieństwem lub dociąganiem źródeł do powziętego z góry założenia, a rozumowanie olśniewa świetnością i olbrzymią swadą.

Gumplowiczowi sądzone było zostać Champollionem zagadek naszej przeszłości i od czasu do czasu rakietami niezwykłych odkryć budzić z akademickiej drzemki zmartwiałe umysły historyków przysięgłych. Śmierć wydarła go nam przed czasem.

H. Galle.

ETNOGRAFIA.

Wisła, miesięcznik geograficzny i etnograficzny, wydawany z częściowej zapomogi Kasy pomocy im. Mianowskiego, pod redakcyą Erazma Majewskiego. Rok 1901. Tom XV, z 10 tablicami i 43 ilustracyami. Warszawa. 1901, 8-o, str. X i 796.

Niepodobieństwem jest zaznajomić czytelników, chociażby pokrótce, z zawartością pokaźnego rocznika drugiego polskiego czasopisma ludoznawczego, gdyż sprawozdanie nasze rozrosłoby się do zbyt wielkich rozmiarów. To też lepiej i korzystniej będzie, jeśli zastanowimy się z ogólniejszego punktu widzenia nad *Wisłą*, bo może w ten sposób wydatniej ukażą się wady i braki, jakie na przyszłość należy usunąć, jeśli pismo ma postępować i rozwijać się, ażeby z czasem dosięgnąć chociażby tego stopnia doskonałości, na jakim stało za czasów redaktorstwa zasłużonego językoznawcy i etnografa, dr. Jana Karłowicza.

Że nie zdołało ono utrzymać się na tej wyżynie, na jakiej je postawił ten kierownik po latach dwunastu ciężkiej pracy, kiedy trzeba było przełamywać trudności, piętrzące się bez miary, walczyć z niedostatkiem prac i współpracowników, ciągle uczyć społeczeństwo nasze, co to jest etnografia, i przekonywać, że to nauka, bez której nie obejdzie się dziś ani historyk, ani prawnik, ani badacz dziejów piśmiennictwa ojczystego; że poziom *Wisły* obniżył się znacznie z chwilą usunięcia się Karłowicza od redakcyi, winy tej nie godzi się kłaść na karb nowej redakcyi, która z pewnością dokładała wszelkich starań i pracowała z zaparciem się siebie. Wina tego wszystkiego tkwiła gdzieindziej. Ogół społeczeństwa, czytającego pisma poważne, nauczył się wprawdzie po pewnym przeciągu czasu, że ludoznawstwo to nauka ważna, chroniąca resztki pierwotnej naszej kultury od zagłady, że nauka to u nas młoda, rozwijająca się powoli; przestano tedy kiwać bezmyślnie głowami i machać rękami, jeśli się mówiło o folklorze, ale też nie odczuwano moralnego obowiązku popierania *Wisły* materyalnie. To też, kiedy Karłowicz ustąpił, nadeszła chwila, która groziła pismu śmiercią z powodu braku funduszów. Prenumeratorów niewielu, zapomoga z Kasy im. Mianowskiego była skąpa, a pismo wymagało ilustracyi i ulepszeń; słowem końce się nie schodziły. Dopiero na wielki gwałt, jaki cała prasa warszawska jednogłośnie wszczęła, przybyło trochę prenumeratorów. Byt materyalny *Wisły* polepszył się nieco.

Łatwo zrozumieć, że w takich warunkach wartość naukowa pisma musiała się obniżyć. Redakcya, licząc się ze sferą umysłową prenumeratorów, musiała zamieszczać rzeczy przystępnie pisane, po dyletancku zebrane materyały ludoznawcze. To też cały ten niemal rocznik przepełniony jest zbiorami rzeczy surowych — pieśni, podań, legend i wierzeń ludowych. Prac syntetycznych, regestrujących to lub owo w etnografii, wyciągających z dostępnego, obfitego materyału pewne wnioski naukowe, prac takich w roczniku jest bardzo mało. Do rzędu ich należą rozprawy: dr. J. Karłowicza p. t. „Najnowsze kierunki badań mitologicznych“ na podstawie pracy J. Króla; Ignacego Radlińskiego „Apokryfy judaistyczno-chrześciańskie“; dr. Władysława Olechnowicza: „Rasy Europy i wzajemny ich stosunek dziejowy“; L. Rutkowskiego „Gościcy Papaje w świetle podań szlacheckich“ i Romualda Łazęgi „Powiat Brodnicki.“ Po za tem napotyka się co krok drobiazgi małowartościowe lub też zbiory materyałów folklorystycznych, odwiecznym sposobem Chodakowskiego trzymające się pieśni i podań ludowych. Jak widać z nazwisk autorów, są to przeważnie nowicyuszki i nowicyusze w etnografii. Świadczy to bezwątpienia nader korzystnie o zainteresowaniu, jakie *Wisła* wzbudziła. Jeśli jednak ci nowi współpracownicy chcą istotnie przysłużyć się rzetelnie nauce, jeśli mają ochotę poświęcić się zbieraniu materyałów ludoznawczych, powinni pamiętać, że nic nie należy czynić dorywczo. Niechaj więc raczej nauczą się np. z krótkiego podręcznika ludoznawstwa G. L. Gommego, wydanego w roku zeszłym w Warszawie, jak i co należy zbierać, niechaj nauczą się pierwej metody jasnej i ścisłej, a wtedy nauka odniesie z nich prawdziwą korzyść, oni sami zaś wcześniej czy później znajdą zadowolenie wewnętrzne. Niechaj nakoniec pamiętają, że mamy stokroć ważniejsze i więcej zagrożone pomniki twórczości ludowej, aniżeli pieśni i podania, niechaj więc ratują od zagłady przesądy i zabobony wieśniacze, architekturę ludową, strój i narzędzia domowe i gospodarskie, gwarę chłopską. Na tem wszystkiem bowiem ostry ząb czasu z rokiem każdym czyni ogromne szczerby. Przepada więc dla nauki wiele materyałów charakterystycznych, których później nie odnajdziemy. Niepowetowanych szkód dla ludoznawstwa nie nagrodzą pieśni ani legendy, których mamy bardzo znaczną już ilość; trzeba ratować to, co ginie w oczach, co wymaga bacznej uwagi. Wreszcie jeszcze słowo: Nie każdy ma ku temu sposobność, ale wielu jest w tem wyjątkowo szczęśliwem położeniu, że mieszka stale na wsi. Oby więc ci, którzy mogą, zechcieli pamiętać, że najlepiej przysłużą się etnografii, jeśli dadzą jej zupełną monografię jednej choćby tylko wioski. Będzie stąd dla nich chluba, a dla nauki wielki pożytek. Na to potrzeba tak niewiele, tylko odrobinę dobrej woli i czasu.

Jaka jest przyczyna wskazanego wyżej braku prac systematycznych w *Wiśle*, tego nie umiemy odgadnąć. Bo przecież tylu jest u nas pracowników, obeznanych dokładnie z etnografią, tylu dobrze przygotowanych do pracy poważnej, naukowej, dlaczegóż więc ich nazwisk brak w tym roczniku? Niewątpliwie jedną z tych przyczyn jest nasze typowe polskie, czysto polskie lenistwo. Ale temu nie zaradzą narzekania, jeśli jest w nich wogóle tak mało poczucia obowiązku. Gdyby ci (chciałoby się wymienić, ale *nomina sunt odiosa*) zechcieli pracować, z pewnością nie ukazywałyby się w *Wiśle* rzeczy bardzo mało mające związku z etnografią polską, jakie zauważyliśmy w tym roczniku, np. A. Freimana „Wstęp do Schuchname Firdusiego“ lub „Pieśni serbskie“ Karadzicza w przekładzie dr. Izydora Kopernickiego. Gdyby ci starsi pracownicy pisać zechcieli, z pewnością nie zamieszczałaby *Wisła* recenzyj prac, niemających żadnego związku z etnografią, np. „Documenta historica seminarii Vladislaviensis.“ W jaki sposób opisano w *Wiśle* Kochanowskiego „Kazimierza Wielkiego,“ Porębowicza „Świętego Franciszka z Assyżu“ — tego nie pojmujemy. Książki te przecież nie mają nic wspólnego ani z etnografią, ani z krajoznawstwem. Na uwagę zasługuje również i to, że recenzye te wyszły z pod pióra etnografa, który raczej powinienby trzymać się prac ludoznawczych.

Kończymy już nasze uwagi, które podyktowała nam troska o dalszy rozwój pisma. Ufamy, że nie będą nam one poczytane za złe i radzi będziemy, jeśli choć część ich, zwłaszcza ta, którą wypowiedzieliśmy pod adresem współpracowników, znajdzie

życzliwy posłuch. Staraliśmy się odkryć przyczynę obniżenia się poziomu naukowego *Wisły*.

Stanisław Zdziarski.

LITERATURA I SZTUKA.

POEZYA I RYMY.

Fr. Mirandolla: *Liryki.* Warszawa, Lwów, 1901. — Kazimierz Przerwa-Tetmajer: *Poezye*, I (wydanie drugie). Warszawa.

Nazwisko Mirandolli znane jest wszystkim, komu nieobce są losy współczesnej poezyi polskiej, jakkolwiek wydaje on dopiero drugi niewielki tomik poezyj. Z „Liryk" jego, podobnie jak z dawniejszej *Liber tristium* wyziera ta sama smutna twarz, pogrążona w głęboką zadumę, w jakieś zaświaty wpatrzona. *Prawda* niedawno drukowała szkic o Amielu, tym dziwnym człowieku, który przeszedł przez życie, jak przez sen i dla którego zjawiska świata układały się w szeregu złudnych widzeń. Zdarzają się po wsze czasy i w najróżnorodniejszej atmosferze szczególne organizacye, dla których każde dotknięcie rzeczywistości jest zbyt brutalne i sprawia ból, które wśród zgiełku czują się jakby w jałowej pustyni, na której jeno „wystrzeliła pod niebo zieloną koroną tęsknota,.." Ludzie ci, koniecznością zmuszeni, mogą się wmieszać w tłum, mogą z bliska i dokładnie ocierać się o rzeczywistość i jak każdy inny, obdarzony zdrowem okiem, wymijać przeszkody... A jednak oni widząc nie widzą, bez wysiłku i bez udziału niemal woli wznoszą między przedmiotami na zewnątrz a sobą nieprzebyty mur i dopiero wówczas zaczynają żyć rzeczywistem dla siebie życiem, gdy się cofną w siebie, do ukrytej świątnicy duszy, dokąd nigdy prawie nie dobiegają okrzyki i hałasy, dobywające się z wiru ludzkiego. Są to dusze nadmiernie czułe, które drżą za lada powiewem, które mogą być wprawione w ruch, jak radyometr, świetlnymi promieniami, a nawet wspomnieniem światła; dusze jednak tak wsłuchane w swe wewnętrzne szmery, tak pochłonięte tęsknotą do jakichś nieznanych, tajemniczych światów, że huk piorunu, wstrząsający posadami ziemi, może dla nich nie istnieć. I Mirandolla należy do tych samotników, dla których czynne wysiłki woli są zawsze połączone z cierpieniem, i przykrym jest widok każdej walki, każdego zmagania się sprzecznych prądów. Mąci mu to przejrzystość jego wizyj. „W zwierciedle duszy tak cicho leży odbicie światła, senne, obmyte z kurzu, złotem oblane. Lecz *kiedy wiatr musnął zwierciadło*, widzenie jasne w falach przepadło, i tylko szczątki drżą potrzaskane."

Kto z rzeczywistością pogodzić się umie i posiada temperament bojownika, ten w wir się rzuci a siły swe wytęży, by walczyć z demonami, jak to jest „Na wyspie" u Daniłowskiego. Lecz inaczej z tym się dzieje, kto nie żył, ale „zasłuchany w niedostrzegalne dla niego tony," kto „senny, w serca wpatrzony pragnienia, w marzeń i tęsknot zawiany omroczy." Ten odwróci się od niemiłych sobie widoków, na jedną kładąc szalę ułomność natury ludzkiej i społeczne bóle człowieka, bo na ziemi „nie wybuja żaden kwiat uczucia, tylko stadami włóczą się szakale i sępy z szponem gotowym do prucia... w rozkoszy znajdziesz tylko szał zatrucia..." „Więc ziemi żale i ziemi nadzieje *marne mi były*, nie warte kłopotu; losem robaków ziemnych ludzkie dzieje, i jedną klęską niemożność odlotu." I ten marzyciel senny, „w marzeń i tęsknot zawiany omroczy," gorąco pragnie ukazania się jasnych dla ludzkości zórz; „nie szczęścia pragnę, nie rozkoszy drżenia: niech wiem, czy „Jutro" przez morza już kroczy i zorze schodzą *nad światem łaskawsze*"; ale jest to jakieś jutro nie z tego świata, jest to łaknienie nieziemskiej w ludziach doskonałości, atmosfery przetykanej blaskiem niewidzialnych dziś oku słońc, jest to wizya jakiejś łąki mistycznej, gdzie czas istnieć by przestał, a samo istnienie byłoby nieustającym czarem... wizya, którą zbliżyć można nie wolą, w czyn odzianą, lecz potęgą tęsknoty, pożądań i przeczuć, mocą, która się skupiła w oczach, wciąż skierowanych w stronę, skąd mają błysnąć świty. „Wystrzeliła pod niebo zieloną koroną, córa pustyni, widoczna z daleka, jak sztandar opuszczony, *i czeka i czeka...*"

Dla natur w ten sposób ukształtowanych jakby umyślnie wynaleziono filozofię, według której ułudą zmysłów jest widzialny kształt, gdyż dopiero po za fenomenem ukrywa się istota rzeczy, zagadka, otchłań tajemnicza, rozwierająca się niekiedy w świetle błyskawicy, by znowu pogrążyć nas w falującą wokół ciemność, i pozostawić jeno nieutulone pragnienie absolutu. Oknem na ten dziwny ocean są nieświadome głębiny naszej duszy. „Skocz w ciemne nurty duszy, rozkrzyżuj ramiona, głową pruj czarną falę... Chwilę choćby przed skonem serce toni przejrzeć lub niemej tajemnicy trupem paść w ramiona..." Tam dopiero istnieje poszukiwana napróżno Atlantyda. „To kraj przez oręż nigdy niezajęty, to kraj na szmaty nigdy nierozdarty, wolny, w ciszy głuchej rozpostarty..." Milcząca, niezbadana zagadka, mówiąca duszy tylko przeczuciami i przebłyskami — to żywioł przyrodzony Mirandolli. Każde powszednie zjawisko staje się dlań symbolem rzeczy głębokich i ukrytych („Podróż"); pokochać może hieroglify, bo nieme, bo świadczą o zapadłych w proch światach... To, co poznane, co oku narzucające się, już przez to samo traci swą wartość, jest muszelką, którą dzieci jeno igrać mogą; natomiast nieobliczalną, nad wyraz wszelki wielką posiada cenę to wszystko, co mija i znika, co szeptem jeno przemawia *). Na takie dźwięki nie umiemy wytężać ucha, a właśnie gdzie nam się widzi martwota i pustka, tam wszystko drga i żyje; i tam także rozpościera się głęboki smutek, bo natura boleje, odwiecznie niezrozumiana. Smutnym jest nieuleczalnie i ten, który przejrzał w chwili jasnowidzenia, gdyż słów zagadki pomimo wszystko nie wypowie. Oto przyszło mgnienie, spadła z Izydy zasłona; lecz kiedy dość „wymówić jedno imię, pomyśleć jeden dźwięk tego imienia, a utworzy się pierścień ogromny, a w nim ukaże się coś, za czem tęsknią, za czem patrzą moje oczy" — oto wtedy właśnie „z pierwszą zgłoską wymówiona wizya pierzchnie jak błyskawica, *Coś i Nic nakryją się wzajemnie...* zaklęta tajemnica świata na zawsze."

Rzeczywistość i tajemnica tak się wikłają u Mirandolli, że kładzie to swoiste na jego stylu piętno; przedmioty martwe nasiąkają czuciem, i nie dziwią nas wcale u niego „dziennych rozmarzeń kwiaty więdniejące," i tylko zatrzymujemy się niepewni, nie umiejąc czasem poprowadzić granicy między odwzorowaniem kształtu widzialnego, między przemijającem wrażeniem a symbolem... Ale w takiem pokrzyżowaniu spoczywa urok. Mirandolla obraca się w świecie wizyj, bo to jego kraj rodzimy, i dlatego przez chwil kilka ogarnia nas jego atmosfera, i udzielają się nam uczuwane przezeń drgnienia duszy! „Puszcza się książkę w świat. Jest to jak list do nieznajomego, dalekiego, przeczuwanego przyjaciela..." Poeta może nie znajdzie przyjaciół licznych, ale z pewnością znajdzie kochających.

*) „Gwiazd oglądanych nie licz, tylko patrz za temi, których blask ci na niebie cień zasłania ziemi i tęsknij za tonami, które wtedy brzmiały, gdyś gonił uchem słowa z szmerem aksamitu."

O drugiem wydaniu poezyj Tetmajera niewiele da się powiedzieć właśnie dlatego, że to jest serya *pierwsza*, w ciągu zaś ubiegłego dziesięciolecia talent poety wybujał potężnie i na nowe poniekąd wszedł tory. Wszystko, co dawniej autor przeniósł był ze swego pierwszego tomiku do następnych, wszystko to usunął teraz z książki świeżo wydanej; zresztą, z góry można było przewidzieć, iż nie znajdziemy w niej wielu rzeczy, drukowanych przed dziesięciu laty w Krakowie. Pod tym więc względem wydanie obecne zupełne nie jest; natomiast autor dodał znaczną ilość utworów, jeszcze nieznanych, a które pochodzą z lat dawniejszych. Są tu i jakby odrzucone pierwotne redakcye tego lub owego wiersza (porównaj „Nie wierzę w nic" i znane „Drwię z wszelkich idej"; brak tu, niestety, uzupełnienia: nie ze wszystkiego można drwić); za inne jednak prawdziwie jesteśmy wdzięczni poecie. Spotykamy tu ustępy tak wyraźnie „tetmajerowskie" zarówno pod względem nastroju, jak przesyconego barwami i ciepłem stylu, że niejednokrotnie ogarnia nas wątpliwość, czy istotnie wszystko to należy do najmłodszego okresu twórczości poety. Bądź co bądź, poznanie tej nowej książki opłaci się czytelnikowi.

Parę słów jeszcze z powodu przedmowy, z której kilka ustępów autor po namyśle z pewnością by wykreślił. Upewnia on nas, że krytycy najrozmaitszych obozów i przekonań społecznych i estetycznych usiłowali go „zabić," jako poetę. Dla jakiejże to grupy i w jaki sposób Tetmajer mógł się stać tak niebezpieczny? Bo tylko grupa wspólnością tych lub owych interesów związana (po za osobiście niechętnymi) może kogoś obdarzyć wyłączną nienawiścią. Pomimo iż zdarzyło mi się pisać raz i drugi o twórcy „Melodyi mgieł nocnych," nie przypuszczam, bym mógł być posądzonym o uczestnictwo w spisku. Jako więc niezainteresowanemu, może mi wolno wyrazić zdanie, że temperament często unosi poetę za daleko i każe mu uogólniać i wyolbrzymiać każdy nieprzychylny o sobie sąd.

A. Drogoszewski.

Z MUZYKI.

Sezon muzyczny z ostatnich tygodni przedstawia się dość pokaźnie. Do niego dołączyć można ostatnie echo zgasłego roku: pierwszy akt Wagnerowskiej „Walkyryi," odśpiewany przy akompaniamencie orkiestry przez p. Chotkowską, pp. Bandrowskiego i Didura.

Wszechświatowa tęsknota, zaklęta w muzyce „Walkyryi" poruszyła serca słuchaczy dzięki śpiewakom i orkiestrze Filharmonii warszawskiej. Domyśleć się łatwo, że prym trzymał Bandrowski. Panna Chotkowska, jak na debiutantkę, partyę swą wykonała poprawnie; głos jej miał siłę dostateczną; wysokie i nizkie tony dźwięczały pełno i czysto. Zarzucić jednak trzeba śpiewaczce matowość średniego regestru głosowego, ale to wada, którą odpowiednia nauka usunąć zdoła.

Zygmunt Stojowski, autor znanej już w Warszawie pięknej symfonii, wystąpił w Filharmonii warszawskiej z własnym koncertem kompozytorskim. Oprócz wyżej wspomnianego dzieła najlepszym utworem Z. Stojowskiego jest drobna rozmiarami „Wiosna" na chór mieszany i orkiestrę, rzecz tchnąca świeżością i wdziękiem iście wiosennym. Zbyt tylko może często odzy-

wa się w orkiestrze tryanguł. W wykonaniu „Wiosny“ soprany Lutni raziły nikłością nut wysokich, w których właśnie brzmieć miała silnie radość życia wiosennego.

W „Fantazyi polskiej“ wykazał Stojowski daleko więcej erudycyi, niż poczucia polskości. „Fantazya“ jest dziełem muzycznie zajmującem, ale co w niej polskiego prócz rytmów tanecznych?

Wśród młodszego pokolenia naszych twórców muzycznych, Paderewski ma niewątpliwie najwięcej poczucia swojskości. choć i w jego „Fantazyi Polskiej,“ jest jej daleko mniej, niż w innych dziełach autora „Manru.“ „Fantazyę„ Paderewskiego odegrał znakomicie uczeń jego Szelling, na jednym z koncertów filharmonijnych.

Szelling oprócz techniki posiada wyraźną indywidualność artystyczną, pełną ciepłego liryzmu, to też jest wybornym *szopenistą*, którego nie zaćmili wcale ani pierwszorzędny skądinąd fortepianista Gadowski, ani p. Jaczynowska. Ta trójka wirtuozów wykonała na trzech koncertach Filharmoni prześliczny utwór Chopina, koncert F moll na fortepian i orkiestrę. Gadowski siłą i brawurą, istotnie chwilami zdumiewającą, przewyższa Szellinga, lecz Chopin w jego, niezmiernie zresztą wykończonej interpretacyi nabiera obcego mu chłodu i suchości. Panna Jaczynowska gra z werwą i biegłością, ma piękne piano i perliste biegniki, lecz szorstkością i ciężkością frazowania, szczególniej w drugiej części koncertu, sprawiła słuchaczom przykrą niespodziankę.

Usłyszeliśmy też dawnego znajomego, utalentowanego skrzypka Marteau i dwukrotnie w Towarzystwie Muzycznem króla skrzypków Burmeistra. Wielki to artysta; żaden styl muzyczny nie jest mu obcy, a każdy odtwarza znakomicie.

Mało mamy kompozytorów polskich, to też każde nowe nazwisko wzbudza ciekawość naszą. Z tego tylko względu należy się wzmianka „Symfonii“ p. Maliszewskiego. Króciutka to rzecz i ubożuchna w tematy.

Jeśli autorowi uda się skombinować jakiś frazes muzyczny, przeprowadza go przez wszystkie instrumenty, a motywy daje też nieswojskie, mocno przypominające tematy muzyczne Czajkowskiego.

Zakończyć nam wypada słowem uznania dla orkiestry Filh. warsz. za wzorowe wykonanie wspaniałej uwertury Saint-Saensa „Barbarzyńcy,“ „Symfonii charakterystycznej“ Berlioza i wielu innych dzieł wysokiej wartości. Czem jest dla orkiestry dobry dyrektor, mogliśmy się przekonać na jednym z koncertów, gdy ciż sami pod dyrekcyą p. Młynarskiego tak karni i wyborni grajkowie chwiali się w tonie i w takcie, dzięki równie chwiejnej batucie p. Afferiniego, występującego w gościnnej roli kapelmistrza.

Remi.

POEZYE

Kosiarz.

Na obszerne dzikie pole
Idę z wielką kosą w dłoni,
Ścinać chwasty i kąkole
Pełne cierni, próżne woni.

Idę ścinać zielska polne,
Co porosły tłumnie grzędy,
By nam trudy nasze rolne
Wystrzeliły w bujne pędy.

Oto nowe niosę ziarna --
A odłogiem gleba leży,
Gleba żyzna—miękka—czarna--
Jakże rzucę posiew świeży?!

Na obszerne dzikie pole
Idę z wielką kosą w dłoni,
Ścinać chwasty i kąkole
Pełne cierni, próżne woni...

Campanella.

SPRAWY EKONOMICZNE

KONKURSY WŁOŚCIAŃSKIE.

Towarzystwo rolnicze wytknęło sobie przed laty bardzo piękne zadanie: dopomaganie do podnoszenia i rozwoju gospodarstw włościańskich. Obecnie tę pracę społeczną i szczerze obywatelską wskrzesiła sekcya rolna. Ogłasza ona konkursy, tj. zbiera śród włościan opisy gospodarstw i na ich podstawie wyznacza nagrody za najlepsze. W roku przeszłym Towarzystwo wyścigów konnych wyznaczyło do uznania sekcyi 500 rb., które właśnie poświęcono obecnie na konkurs tego rodzaju i we wtorek ubiegły rozdano nagrody „laureatom,“ przybyłym do Warszawy osobiście. Zebrane opisy 17-tu gospodarzy z różnych stron kraju są bardzo cennym materyałem; dają one bowiem pojęcie na jakim poziomie stoi rolnictwo śród włościan najbardziej oświeconych, a zatem — jakie drogi mogą wogóle doprowadzić gospodarstwo chłopskie do lepszego stanu pod względem społeczno-ekonomicznym. Wyjmujemy przedewszystkiem garść ogólnych danych z protokółu, odczytanego na posiedzeniu sekcyi rolnej w ubiegły poniedziałek.

Pomiędzy 16 odpowiedziami znajdujemy 15 mniej lub więcej szczegółowych opisów i jeden „artykuł czyli rozprawę o przeistoczeniu pastwisk na pola i łąki, a piaszczystych pól na dobre paśniki i łąki przez gospodarza na 18 morgach ziemi.“ Sześciu włościan, stających do konkursu, gospodaruje na przestrzeniach 18-morgowych, dwaj mają po dwadzieścia kilka, jeden około 40, jeden 60 bardzo lichej ziemi i dwaj małorolni po 6 i 9½ morg. W połowie tych gospodarstw gleba z natury jest uboga, a cały postęp właściciele zawdzięczają ciężkiej, inteligentnej, sumiennej pracy. Co do rasy bydła, daje się spostrzegać miejscowa, spotykana we dworach, chociaż na hodowlę opisywanych gospodarstw dwory wywierają mały wpływ bezpośrednio. Większość konkursowców jasno zdaje sobie sprawę z różnych ras bydła i idzie konsekwentnie w obranym kierunku. Bydło żywią wogóle dobrze, w zimie uciekają się do paszy skoncentrowanej (kuchy i otręby) i ciepłej pójki, karmią okopowizną, koniczyną, sieczkę dają w niezbędnej ilości, nie przeciążając żołądków. Latem pasą na pastwiskach, dodając paszy w domu. Sieją na paszę: żyto, gorczycę, wykę, seradellę, szporek, koniczynę z trawami, probują łucernę i wykę piaskową a nawet soję. Sadzą: koński ząb, liczne odmiany kartofli i buraków pastewnych, marchew, brukiew, dynię, rzepę ścierniskową (skarżą się na brak dobrych nasion).

Wydatek mleka mają średni około 400 garncy rocznie; w dwu jednak oborach dochodzi do 600 garncy. Mleko (z jednym wyjątkiem) przerabiają na masło dla użytku domowego; nadmiar sprzedają.

O wołach istnieją wzmianki w dwu opisach: na Podlasiu i w górach Świętokrzyskich.

Wogóle ujawniano dużo troskliwości w pielęgnowaniu bydła. Jeżeli jednak pomimo to stan hodowli jest średni, wynika to z braku łąk i pastwisk naturalnych, rozdrobnienia ziemi i braku reproduktorów, których pojedynczy włościanin nie może utrzymać.

Hodowli nierogacizny na przeszkodzie stoi poniekąd brak dobrych rozpłodników, głównie zaś szeroko panujące zarazy, które zniechęcają i rujnują hodowców.

Wymowne i bardzo znamienne są wyjątki z niektórych opisów. Dają one obraz dążeń i pragnień kulturalnych, społecznych i ekonomicznych śród dzielniejszych jednostek ludu naszego: „Czytać umieją wszyscy w rodzinie (oprócz babki 89-letniej), ale nie wszyscy korzystają z dobrodziejstwa oświaty, pomimo, że jest znaczny księgozbiorek, zwłaszcza dziełek rolniczych, oraz dwa pisma (*Gazeta Świąteczna Kronika Rodzinna*). Co jest ulepszonego w gospodarstwie, to zawdzięczać należy oświacie, choć, co prawda, oświata do tej pory musi walczyć z zacofaniem, bo ojciec choć mi dopomógł w początku do wyuczenia się czytać i pisać, to teraz jednak jest nieprzyjacielem oświaty i postępu i nieraz gwałtem trzeba wprowadzać coś nowego, chociaż widać w tem oczywistą korzyść. (Przyznać należy, że ojciec jest człowiekiem i tak dość łagodnym, a jeżeli coś się sprzeciwia to dla tego, aby nic było w tem zawodu i żeby sąsiedzi się nie śmieli). Czytać i pisać uczyłem się od ludzi prywatnych, gdyż szkoły u nas niema; resztę nauki zdobywam z książek i gazet...“

„Płodozmian zapewnił dużą ilość paszy dużo mleka dużo nawozu, a przeto i dobre inne rośliny. Aby mieć dobre zboże, zamiast sprowadzania z zagranicy wziąłem się do hodowli i poprawy zbóż miejscowych. Jakoż po 7 latach cierpliwej pracy, wyhodowałem bardzo doskonałe dwa gatunki pszenicy, dwa żyta i jeden jęczmienia i jeżeli ich się da pokazać na wystawie lubelskiej, to znawcy ocenią, ile one warte. Tak też myślę postępować i z poprawą inwentarza. Wprawdzie nie pójdzie to tak łatwo jak ze zbożem. Wiadomo, że przez dobry wybór rozpłodników, przez obfite żywienie i akuratne utrzymanie, można gatunek bydła lub czegoś podobnego poprawić. Nawet już poczynione ku temu pewne początki, trzeba tylko staranności... Czasu może będzie trochę więcej, gdyż zimową porą już nie będziemy młócili cepami.“

Ciekawy jest rachunek tego gospodarza: W r. 1899—1900 nabiał dał 13 rb. 23 kop., przychówek bydła 55,50, świnie 118,75, kury 17,30, pszenica 106,31, inne zboże 14,90, przychówek koni 97,49, razem 422 rb. 49 k.

„Kto baczną uwagę zwróci na powyższy rachunek — pisze gospodarz Zieliński — zauważy, iż tu jest dążenie do gospodarki hodowlanej, bo ona rzeczywiście nieźle się opłaca, a to głównie przez zwiększenie siły nawozowej. Ma się rozumieć wyłącznie gospodarki hodowlanej, jaką prowadzą Duńczycy lub Holendrzy, u nas zaprowadzić nie można, a to z powodu nizkiej ceny przetworów mlecznych; jednakże w bliskości dużych miast i u nas w stosunku do nizkiej ceny zbóż hodowla krów i świń nieźle się opłaca. To też w naszem gospodarstwie połowa całego pola obraca się na hodowlę roślin pastewnych, a mianowicie: jedna siódma pod koniczynę, jedna pod wykę, jedna pod jęczmień, jedna czternasta pod kartofle. Tylko więc pszenica, buraki i rzepak wywozi się po za granice gospodarstwa; inne skarmia się w domu...“ „Zamiast sprowadzać drogie zagraniczne zboża — kończy gospodarz — hoduję je sam, boć nie święci garnki lepią.“

Ciekawa jest sylwetka psychologiczna jednego z gospodarzy, przedzierającego się przez mroki do światła i patrzącego zdala na zamglone ideały swego życia, którego obrazy podobłoczne łączą się i mieszają z ziemskimi: „Chodząc ostatnimi czasy do szkoły początkowej i ucząc się wspólnie z innym towarzyszem, dziś ks. proboszczem, pamiętam, choć będąc wtedy jeszcze dzieckiem, ten się mnie zapytał, na kogóż się

uczę i czem myślę zostać. Bo ja—mówi—miałbym życzenie uczyć się, aby zostać księdzem. Kochany panie, bez namysłu odpowiadam — dla mnie byłoby dosyć szczęścia, aby zostać dobrym gospodarzem..." „Lecz los mój nie był tak pomyślnym, jak mego towarzysza, który już od kilku lat jest księdzem, a nawet proboszczem, a ja jeszcze gospodarzem nie byłem... Prawda, przykro mi to było i wielce bolałem nad swym losem. Czekam, cierpię i myślę, azali więcej potrzeba czasu i nauki na gospodarza, niż na księdza."

Dalej włościanin ten spowiada się, jak po otrzymaniu spadku walczył z pokusami i namowami, ażeby szedł do miasta lub emigrował. „O, nie, tego nie uczynię! Mam ja dobroczynną naukę, mam dobre chęci, dodam trudu i potu, kupię sobie szafarkę ziemię, będę się starał być dobrym, postępowym gospodarzem. Takem i uczynił, lecz niełatwo mi to poszło."

Dalej idzie opis walki z twardymi warunkami i niedostatkiem. „Gospodarz" posiadł naraszcie „sam goły grunt, obciążony długiem, ani klatki budynku, ani ziarna zboża do obsiewu, ni słomy, ni mierzwy, ni inwentarza, ni wołu na powrozie." Wszystko jednak znalazło się, dzięki wytrwaniu i nauce, przed którą gospodarz klęka z namaszczeniem. Opis uczucia i zapału dla niej płynie szczerze i wzruszająco z naiwnej duszy kmiecej: „To przywiązanie i miłość do ziemi, tej szafarki hojnych wydawnictw — to dobrodziejka nauka! To żywa niezachwiana w nią wiara."

Jest to istotnie bodziec niekłamany, dzięki któremu dzielniejsze jednostki z ludu zaczynają zrywać z rutyną i przyjmować chętnie to wszystko, co wnosi do ich pracy postęp i kulturę, a więc prowadzi do wzmocnienia i uniezależnienia ekonomicznego. To też nawet na niewielkich obszarach trzypolówka znika coraz bardziej, a natomiast zaszczepia się z powodzeniem system ośmiopolowy. Zboże i trawy na takich polach i łąkach włościańskich już niekiedy trudno jest odróżnić od dworskich. Oto jak się chlubi owocami swej pracy jeden z gospodarzy w opisie pełnym zamaszystej fantazyi: „Siałem przeskok; udał się wybornie; pogląd pokaźny, niby kilkunastoletni zagajnik, gruby i wysoki jak dębczaki, liście ciemno-zielone, długie i szerokie, jak skrzydła żórawia, dumny i potężny jak byłe wojsko skrzydlatych huzarów polskich."

Włościanie ci nie zniechęcają się do ziemi, nie chcą iść do miast „na stróżów podwórzowych, wałeśników, zamiataczy, wodonośców, wszelkich posługaczy." Pracują z całym zapałem, a owoce tej pracy, poczucie niezależności, daje im wielką głębię zadowolenia moralnego.

Niestety, są to tylko jednostki, których konkurs wykazał zaledwie kilkanaście. Przypuśćmy, że jest ich kilkaset w całym kraju. I to byłaby garstka niesłychanie mała wobec wielotysięcznych mas ludności włościańskiej, której znaczny procent stanowią małorolni. Te wszakże jednostki są drogowskazami na rozległych mrocznych i sennych obszarach. Lud chętniej, z większem zaufaniem przyjmuje wszelkie wskazówki i przykłady od swoich, niż od wyższych warstw społecznych. Dlatego taki objaw postępu śród owych jednostek cenić należy. Dlatego konkursy, ogłaszane przez sekcyę rolną, mają wielkie znaczenie społeczno-kulturalne; większe, niż nagrody na wystawach prowincyonalnych.

Zen. Piel.

KŁOSKI.

W społeczeństwie tyle jest mętnych źródeł zdobywania pieniędzy, że każde z nich bardzo łatwo może się bronić istnieniem innych. Każdy winowajca wskaże podobnego mu lub gorszego. Więc też adwokat totalizatora, p. Wotowski (w *Jeźdźcu i myśliwym*) bardzo łatwo znalazł cały szereg jaskiń gry — resursy, kluby — gdzie uprawiany jest hazard bezkarnie. Ale to nie argument, gdyż 1) nigdy prawo nie uwalniało od kary Pawła dlatego, że winnymi są również Gaweł i Jan i stu innych, a 2) kluby i resursy, gdzie przesypują sobie pieniądze z kieszeni do kieszeni próżniacy, nie wyrządzają ani takiej szkody, ani takiego zgorszenia, jak totalizator, w którym grają tysiące ludzi niezamożnych i wytwarzają „obroty" milionowe. Co się zaś tyczy niepokoju p. Wotowskiego o stajnie pełnej krwi i pół krwi koni, które karmią się zarobkami tej łupieżczej budy, to również 1) korzyść z tej hodowli *dla kraju* jest dotąd urojona, a 2) — jak mówi p. Rabski w *Kuryerze Warszawskim*— „niech djabli wezmą taką hodowlę," która nie poprawiła naszych koni a zepsuła instynkty naszego ogółu. Dlatego, żeby kilkudziesięciu panów miało folbluty i zabawy z wyścigów, demoralizować społeczeństwo — to za drogo i za cynicznie. P. Wotowski radzi tylko ograniczyć totalizatora i urwać mu trochę z dochodu na rzecz filantropii. Dziękujemy za taki podatek. Wolimy to, czego żąda rada miejska w Moskwie: zniesienia totalizatora jako instytucyi niemoralnej i szkodliwej. A gdyby dla sprawiedliwości zamknięto również kluby karciane — i owszem.

Obecnie filantropia nasza wiesza na kołku dużo nowych sitek, z których może będzie jakaś pociecha, ale jednocześnie zapomina o starych. W Mokotowie pod Warszawą istnieje oddawna znany i pożyteczny Instytut moralnej poprawy dzieci. Ponieważ nie jest modnym, więc jest biednym. Skromne jego fundusze uszczuplono cofnięciem puszek ofiarnych z kościołów warszawskich, w których są zbierane obecnie tylko datki na budowę świątyń. Miłosierne nogi panów i pań wytańcowały w bieżącym karnawale zasiłki dla rozmaitych przytułków, a o Instytucie mokotowskim nikt nie pamiętał. Szkoda. Z niewielkim trudem można było urządzić jeszcze jeden bal, zebrać jeszcze wiązkę karnetów, wymyślić jeszcze jakąś przynętę — a litościwi warszawianie i warszawianki pracowaliby ochoczo do rana „dla otarcia łez" moralnie zaniedbanych dzieci.

Zacna myśl powzięła pani Matuszewska, zamierzywszy otworzyć, pod skrzydłami Towarzystwa dobroczynności, z ofiar prywatnych, mały żłobek dla opuszczonych niemowląt. Gdy ta myśl przejdzie w czyn, pomówimy o niej szczegółowiej; dziś zaznaczamy tylko fakt szlachetnego miłosierdzia, składającego nowy dowód na to, że dobra i silna wola może u nas stworzyć wiele. Ale taka wola jest niezwykłym ptakiem, który rzadko się wykluwa, a jeszcze rzadziej dojrzewa.

Ktoś w *Kuryerze Warszawskim* wykazuje potrzebę założenia u nas banku parcelacyjnego, któryby zakupując większe folwarki, odprzedawał je częściowo „niewłościanom." Nie ulega wątpliwości, że i „niewłościanie," chcący nabyć działki ziemi, powinni mieć jakąś instytucyę, którąby im do tego pomogła. Ale ponieważ tego rodzaju amatorowie o tyle jedynie zasługiwaliby na poparcie, o ileby zdobyli ziemię nie dla zabawy, ale dla pracy na niej, a takich po za ludem jest niewielu; ponieważ Bank włościański dotąd stanowi maszynę bardzo ciężką i działającą zbyt powolnie; ponieważ dalej chłop jest najpewniejszym i najakuratniejszym dłużnikiem, więc nie rozumiemy, dlaczegoby Bank parcelacyjny miał się oprzeć wyłącznie lub nawet przeważnie na „niewłościanach"? Ograniczyłoby to jego działalność, nie dałoby mu szerokiej i mocnej podstawy, a krajowi nie przyniosłoby wielkiego pożytku. Daremne deklamacye wobec faktu, że po za nielicznymi wyjątkami tylko nasz chłop ziemię kocha, tylko on ją silnie w swych rękach trzyma i tylko jemu jest ona wdzięczną.

NA MARGINESIE.

O żywieniu niemowląt, których matki nie chcą lub nie mogą karmić same, dr. Romme daje trochę nowych i ciekawych szczegółów w Nr. 3 *La Revue*. Mleko wogóle zawiera to wszystko, co jest potrzebne dla rozwoju organizmu dziecka, tj. sernik, cukier, tłuszcze, sole mineralne itd.; lecz stosunek tych części zmienia się pod względem ilościowym: mleko krowie np. zawiera więcej sernika a mniej cukru, niż mleko kobiece, skutkiem czego nie jest pożywieniem zdrowem dla niemowląt w pierwszych czasach po urodzeniu. Wszelkie przepisy, mające je upodobnić do mleka kobiecego, okazały się zawodne; wszelkie próby oczyszczenia z mikrobów, których obecności przypisywano jego szkodliwość—bezskuteczne; stwierdzono, że dzieci karmione smoczkiem są wątłe, rosną wolniej, rozwijają się słabiej, mają mniejszą odporność na choroby, często zdradzają anemię, usposobienie rachityczne i wogóle stan chorobliwy. Lekarze, pilnie badając te objawy, pracowali jednocześnie nad wyśledzeniem ich przyczyny; i oto, od pewnego czasu wpadli na trop, jak się zdaje w tym kierunku właściwy. Pierwszy dr. Escherich z Austryi zrobił przypuszczenie, że w mleku kobiecem muszą się znajdować jakieś ciała rozpuszczalne, fermenty, które nietylko ułatwiają jego strawienie, lecz i przyswojenie, tj. wessanie przez tkanki organizmu. Dzięki obecności tych fermentów, w dziecku, karmionem piersią, rozwijają się kości i mięśnie, skóra nabiera giętkości i jędrności, żołądek, płuca i serce — sprawności, krew—żywotności. Mleko krowie tych fermentów nie posiada, i dla tego karmione niem dziecko jest wątłe i najczęściej chorowite. Idąc za tymi wskazówkami, przekonano się o trafności przypuszczenia. Parę miesięcy temu dr. Nobécourt wydał ciekawą pracę, w której przedstawił rezultaty poszukiwań dotychczasowych. Stwierdzono mianowicie dwie rzeczy: po pierwsze, że mleko kobiece posiada istotnie fermenty zakwaszające i rozwadniające, z których jedne zamieniają tłuszcz w glicerynę, drugie krochmal w cukier; powtóre, że z tych fermentów jedne znajdują się wyłącznie w mleku kobiecem, drugie w każdem, tylko w mniejszej ilości. Zupełnie te same fermenty co mleko kobiece posiada mleko ośle, i dlatego dziecko, niem żywione, rozwija się dobrze.

Być może, że w mleku krowiem i koziem znajdują się też fermenty podobnie działające, lecz sterylizacya i gotowanie niszczy je, a tem samem utrudnia przyswojenie mleka przez organizm dziecka.

Idąc dalej za tem przypuszczeniem, inny doktór nazwiskiem Spolverini wpadł na myśl zmiany składu mleka zwierzęcego przez odpowiednie żywienie. Pierwszą próbę wykonał na kozie, której mleko wykazywało zupełny brak dwu fermentów, znajdujących się w mleku kobiecem. Tej kozie, do jej zwykłego pożywienia zaczął dodawać jajka i trochę mięsa; po pewnym czasie w mleku zwierzęcia ukazały się oba fermenty mleka kobiecego. Następnie dr. Spolverini zamiast jaj i mięsa spróbował dawać kozie słód jako tańszy; po upływie jednego miesiąca mleko kozy zawierało fermenty mleka kobiecego. To doświad-

czenie przeprowadził z krowami i te same otrzymał rezultaty.

Jest to odkrycie doniosłości niemałej, niedostatecznie jednak jeszcze zbadane. Gdyby dalsze doświadczenia stwierdziły jego wartość, ludzkość otrzymałaby nowe od nauki dobrodziejstwo.

O prawdę.

Wyodrębnienie Galicyi.

Z powodu mej książki p. t. „Wyodrębnienie Galicyi,“ *Prawda* zamieściła dwa artykuły pióra p. Radosławskiego poświęcone tej kwestyi. Autor jakkolwiek życzliwie zapatruje się na wyodrębnienie, jednak nie może dać sobie rady z tą kwestyą i otwarcie się przyznaje, że nie wie, czy jest jakie wyjście dla Galicyi z jej dotychczasowego położenia, toż samo, zdaniem p. R., da się powiedzieć o całej Austryi. Można to, mojem zdaniem, objaśnić tem, że p. Radosławski jest pod wpływem marxizum, gdy więc staje wobec objawu nie dającego się wyjaśnić tą doktryną, wówczas nie mogąc łamać tego, czego rozum Marxa nie złamał, musi pasować.

Galicya jest rynkiem zbytu dla przemysłowych prowincyj Austryi: niemieckich i czeskich. Niemcy wymagają wyodrębnienia Galicyi, co może być czynnikiem jej emancypacyi ekonomicznej wobec tych prowincyj. Doktryna Marxa, materyalizm dzisiejszy tego nie wyjaśnia; niech żyje doktryna, niech giną fakty! Niemcy nie mogą więc szczerze chcieć wyodrębnienia Galicyi. Jeżeli w 1879 r. partye niemieckie czyniły odnośne propozycye, to w przyszłości tego nie uczynią — twierdzi p. Radosławski, gdyż lekceważy ten fakt, że partya wszechniemców, najusilniej za tą sprawą głosująca, przeszło potroiła ilość swych mandatów podczas zeszłorocznych wyborów, że niemiecy ludowcy, współzawodniczący ze wszechniemcami i najsilniejsza partya niemiecka w parlamencie austryackim złożyła przed paru miesiącami wniosek o wyodrębnieniu Galicyi, powołując się na postanowienie sejmu galicyjskiego z 1868 r., że antysemici wiedeńscy wielokrotnie się oświadczali za wyodrębnieniem Galicyi. Nie uwzględnia też p. Radosławski dążności do usamodzielnienia i do wyodrębnienia krajów czeskich, którą przenikło społeczeństwo czeskie i jest zasadniczą przyczyną przesilenia austryackiego. Zrealizować się ta konieczność może przez przeobrażenie się Austryi w związek państw. Niema na polu przemysłu antagonizmu między Czechami i Niemcami Austryi, a antagonizm czesko - niemiecki rozpiera państwo.

Istnieją antagonizmy społeczne, przez Marxa nieuwzględnione, walki narodowe, a należą one do czynników przeobrażających stosunki polityczne i ekonomiczne. Powstanie i upadek niewolnictwa, pańszczyzny, rozwój polityki społecznej i wiele innych objawów ekonomicznych, były wywołane i przyśpieszone walkami narodowemi. Uznając walki narodowe za czynnik rozwoju politycznego, możemy na nich budować nasz program wyodrębnienia Galicyi.

P. Radosławski, zapatrzony na antagonizm rolnictwa i przemysłu w Niemczech, nie chce zrozumieć, że w interesie właścicieli ziemskich w Galicyi leży uprzemysłowienie kraju. Nie odpowiada on na uwagę naszą: Antagonizm i współdziałanie różnych zjawisk ekonomicznych, różnych grup społecznych, uosabiających różne interesy ekonomiczne, zależnym jest od interesów, od ilościowych stosunków tych zjawisk. Niemcy posiadają zaludnienie o 3 osoby gęstsze na kilometr kw. od Galicyi przy 14,82 ludności przemysłowej, podczas gdy w Galicyi procent ten wynosi zaledwie 3,6; wobec tego, rzecz naturalna, że gdy w Niemczech rolnictwo może uskarżać się na brak rąk, w Galicyi, jeśliby nie istniało wychodźtwo zarobkowe ludu, byłby tych rąk olbrzymi nadmiar, antagonizm więc, w zdobywaniu rąk roboczych między rolnictwem i przemysłem, przejawiający się w Niemczech nie da się zaobserwować w Galicyi (31 str. „Wyodrębnienie Galicyi“). „Agraryusze galicyjscy — twierdzi p. Radosławski — wolą, aby ludność wiejska musiała oglądać się na zarobek wyłącznie u nich.“ Bardzo dobrze, ale 100 tysięczna roczna zarobkowa emigracya już dawno zniosła monopol agraryuszów galicyjskich na siły robocze krajowe. „W łączności z Austryą, w przymierzu z czeskimi i innymi feodałami łatwiej im też przy pomocy ceł zbożowych utrzymywać swe dochody na wysokości, niż w demokratycznej przynajmniej Galicyi. Tu musimy zaznaczyć, że ponieważ wyodrębnienie Galicyi znajdować się będzie w jednem terytoryum celnem z innymi krajami Austryi, to sojusz agraryuszów galicyjskich z austryackimi w sprawie zachowania ceł zbożowych nie byłby przez wyodrębnienie zniszczonym. Dochód zaś właścicieli ziemskich zależy nie tylko od wysokości cen zbożowych, ale i postępu rolnictwa, przemysłem uwarunkowanego. Czyż by właściciele ziemscy w Czechach byli tak w środki zaradni jak są nimi dziś, gdyby w Czechach nie istniało około 200 cukrowni, stanowiących pyszny rynek dla buraków?

Uprzemysłowienie Galicyi — doktryna uważana w kołach konserwatywnych za niebezpieczną, dziś zdobywa tam swych zwolenników. Nastąpiła obecnie epoka złudzeń, że ogólne austryackie środki państwowe wytworzą u nas przemysł, że uprzemysłowienie Galicyi jest możliwe i przy obecnym stosunku tego kraju do państwa. Gdy pierzchną te złudzenia, to część partyi konserwatywnej, która opiera się nie na łasce dworu, urzędach, ale na warstwach zasobnych w ziemię i kapitał, stanie pod zwolennikami wyodrębnienia. Wobec tego, że żywioły demokratyczne już stają pod tym sztandarem, inne gdy zapragną wyodrębnienia, będą musiały poczynić na ich rzecz ustępstwa. Wyodrębnienie Galicyi, jako nowe hasło polityczne w kraju, w którym przez lat 30 obywało się bez programów politycznych, a rzucono zamiast nich nic nie mówiące, nieprzystosowane do naszych warunków formułki polityczne, będzie musiało przeobrazić wszelkie dotychczasowe konstelacye polityczne. Przed kilkoma dniami wyszła odezwa mieszczan lwowskich, nawołująca mieszczaństwo pod sztandary stronnictwa ludowego, pod sztandar wyodrębnienia. Sojusz mieszczaństwa polskiego z chłopem już może wytworzyć znaczną siłę polityczną, wystarczającą dla realizacyi wyodrębnienia przy dzisiejszych warunkach, będącą rękojmią, że wyodrębniona Galicya nie będzie krajem reakcyi społecznej. P. Radosławski wspomina o obawach, aby po wyodrębnieniu kraj nie stał się pastwą żywiołów klerykalno - szlacheckich. Ale niech spojrzy na Wiedeń rządzony przez antysemitów, domagających się oddania szkół pod kierunek kleru, i zwróci uwagę na to, że takie żądanie nie cieszy się popularnością ani we Lwowie ani w krakowskiej radzie miejskiej. Dolna Austrya, kraje Alpejskie, zwłaszcza Tyrol, są daleko bardziej klerykalne od Galicyi. Ponieważ *los von Rom* jest dążnością prusofilów austryackich, klerykalizm jest racyą stanu Austryi i odcięcie się od Wiednia nie może być czynnikiem potęgującym u nas klerykalizm. Zresztą prawdziwa demokracya opiera swe nadzieje na rozroście sił własnych, na zdobyczach przez się wywalczonych, nie na szukaniu bezskutecznej obrony zewnątrz kraju.

Wład. Studnicki.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. *Dziennik Poznański* zaprzecza wiadomości, jakoby się miał rozwiązać komitet, zbierający składki na dzieci wrzesińskie, skazując tym sposobem na nędzę osoby dotknięte wyrokiem.

— Zatwierdzono ustawę Towarzystwa pomocy biednym Żydom w Radomiu.

— W Wilnie założono Towarzystwo rzemieślniczo-przemysłowe.

— Inspektor warszawskiego urzędu lekarskiego oznajmił radzie miejskiej dobr. publicznej, iż na podstawie osobistych spostrzeżeń w dziedzinie szerzenia się prostytucyi w Warszawie przyszedł do wniosku, iż byłoby rzeczą bardzo pożyteczną zająć jakąkolwiek pracą kobiety, przebywające na kuracyi w szpitalu św. Łazarza. Po za wprowadzeniem zajęć nie byłoby też bez znaczenia organizowanie odczytów, ilustrowanych obrazami niknącymi. Rada zgodziła się na ten projekt i zaproponowała inspektorowi lekarskiemu opracowanie programu odczytów w celu uzyskania na nie pozwolenia władzy.

Organizacye studenckie. Ministeryum skarbu zatwierdziło dla organizacyi studenckiej w politechnikach przepisy tymczasowe, mające wychowańcom tych uczelni zapewnić takie same prawa, jakie służą studentom uniwersytetów i innych wyższych zakładów naukowych.

Szkoły. Uczniowie, którzy otrzymali patenty z ukończenia szkół rzemieślniczych a pragną wstąpić do średnich szkół technicznych, obowiązani są złożyć egzamin ze wszystkich przedmiotów, nie wyłączając języków nowożytnych i historyi naturalnej, w zakresie programu pięciu klas szkoły realnej.

— Ministeryum oświaty zezwoliło na przedłużenie w gimnazyum męskiem w Siedlcach dużej pauzy pomiędzy trzecią a czwartą godziną lekcyi z 30 do 40 minut i pomiędzy pierwszą a drugą z 5 do 10 minut, z zachowaniem dotychczasowej długości lekcyj, które kończyć się mają nie później, jak o godzinie pół do 3-ej.

Hakata. Władze uniwersyteckie w Berlinie wydaliły znowu trzech studentów Polaków z powodu znanej manifestacyi przeciw prof. Schiemanowi.

Dentyści. Ministeryum spraw wewnętrznych zawiadomiło urzędy lekarskie, żeby nie dozwalały na przepełnianie gabinetów dentystycznych praktykantami i uprzedziły osoby przyjmujące uczniów, że w przeciwnym razie będą zmuszone odmówić potwierdzedzenia świadectw z ukończenia nauki.

Konkursy. Ministeryum rolnictwa i dóbr państwa ogłosiło konkurs na zbadanie t. zw. trucizny rybiej oraz wynalezienia środków zapobiegawczych. Nagrody 5,000, 1,500 i 1,000 rb. W konkursie mogą brać udział uczeni wszystkich krajów, a prace nadsyłać w każdym języku.

— Krakowskie Tow. „Polska sztuka stosowana“ roztrzygnęło konkurs na projekt półki na książki, w stylu polskim. Nagrodę otrzymał p. Karol Tichy z Krakowa. Wyróżniono oprócz tego kilka innych projektów.

— Roztrzygnięto konkurs, ogłoszony w roku zeszłym przez Muzeum przemysłowe we Lwowie, na urządzenie jadalni w stylu polskim. Z pomiędzy 20 nadesłanych prac pierwszą nagrodę (400 koron) przyznano projektowi p. W. Gosienieckiego z Zakopanego, drugą (300 koron) p. Wojciechowi Brzedze również z Zakopanego; trzeciej nie przyznano nikomu, lecz natomiast postanowiono zakupić dla Muzeum dwa projekty pod godłem „Janina“ i „Ocknienie.“

Ruch kobiecy. W tygodniu ubiegłym zorganizowano zarząd Kasy przezorności i pomocy dla kobiet pracujących fizycznie. Do komitetu należą pp.: M. Kryżowa — prezesowa, M. Wiślicka — wiceprezesowa, M. Małkowska — sekretarka, Albert Wilczewski — skarbnik, L. Skwarecka, M. Dzięciołowska, Wł. Piątkowska, K. Wolff, adw. przys. S. Patek. Do komisyi rewizyjnej powołano pp.: J. Golczównę, A. Lothową i A. Hersową.

Z uniwersytetów. W r. b. do uniwersytetu warszawskiego uczęszcza 1,312 studentów; na wydział historyczno-filologiczny 55, na fizyko-matematyczny 295, na prawny 590, na lekarski 382.

Nauka. Związek naukowo-literacki we Lwowie urządza szereg odczytów publicznych o „Wiedzy i życiu w XIX w.“

Ubezpieczenia. Zjazd górniczy w Charkowie uchwalił projekt ustawy obowiązkowego ubezpieczenia górników na życie i od wypadków nieszczęśliwych. Według postanowienia zjazdu, wszystkie kopalnie winny swych górników ubezpieczyć najpóźniej do d. 1-go stycznia 1903 r.

— Niektórzy zamieszkali w Warszawie poddani niemieccy, zajęci pracą w fabrykach, otrzymali od

swej władzy państwowej zawiadomienie, iż ubezpieczenie rządowe robotników ma być rozciągnięte i na Niemców pracujących w Królestwie Polskiem.

Ze sztuki. Doroczne ogólne zebranie członków Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych odbędzie się d. 19 lutego r. b. o godz. 7 wieczorem w gmachu Towarzystwa przy ul. Królewskiej nr. 17 A dla wysłuchania sprawozdania komitetu i delegacyi rachunkowej, rozpatrzenia wniosków i dopełnienia wyborów członków komitetu i delegacyi na r. 1902. Wstęp na ogólne zebranie mają wszyscy członkowie Towarzystwa, prawo zaś głosowania — tylko członkowie rzeczywiści. Członkowie nieobecni nie mogą ustępować swego głosu. Członkowie rzeczywiści i zwyczajni przy wejściu na zebranie winni okazać dowód opłaconej składki na rok bieżący.

Wystawy. We wrześniu r. b. urządzoną będzie w Żytomierzu przez miejscowe Towarzystwo techniczne wołyńska wystawa rolniczo-przemysłowa z oddziałami rzemieślniczym i przemysłu domowego.

Kasy. Ministeryum spraw wewnętrznych zatwierdziło ustawę pierwszej w Królestwie Polskiem kasy posagowej, powstającej w Kaliszu p. n. „Wesele.“ Dzielić się ona będzie na trzy grupy, liczące nie mniej nad 201 i nie więcej nad 301 uczestników. Zapisujący się do pierwszej grupy płacą 90 kop., do drugiej 3 rb. i do trzeciej 9 rubli. Z tej sumy 30 k., 1 rb. i 3 rb. stanowią jednorazową wpłatę tytułem wpisowego, drugie 30 kop., 1 rb. i 3 rb. wnoszą członkowie corocznie na koszty administracyi i utworzenie funduszu rezerwowego, a pozostałe 30 kop., 1 rb. i 3 rb. tworzą kapitał, przeznaczony na zapomogi dla osób wstępujących w związki małżeńskie. Gdy jeden z uczestników lub uczestniczek danej grupy żeni się lub wychodzi za mąż, pozostali uczestnicy w tej grupie płacą do kasy w ciągu trzech tygodni znowu składkę, ale tylko pojedynczą, tj. 30 kop., 1 rb. i 3 rb. Uczestnicy, którzy wnieśli 125 składek, dalej nie płacą i otrzymują maximum zapomogi: w grupie pierwszej 120 rb., w drugiej 400 i w trzeciej 1,200 rubli. Minimum zapomogi po wniesieniu 1—5 składek stanowi w grupie pierwszej 30 rb., w drugiej 100 rb. i w trzeciej 300 rb. Członkami Kasy mogą być osoby wszystkich stanów, mężczyźni od lat 21 i kobiety od lat 17. Mieszkańcy innych gubernij przy zapisie obowiązani są przedstawić osobę mieszkającą w Kaliszu, upełnomocnioną do wnoszenia składek.

Zdrowie publiczne. Na ogólną liczbę 51,454 osób leczących się w roku zeszłym w Karlsbadzie, 48,782 osób pochodziło z Europy, reszta z innych części świata.

— Lekarz berliński, prof. Leyden, wynalazł surowicę przeciw szkarlatynie.

Koleje i komunikacye. Postanowiono, ażeby służba kolejowa, czynna na stacyach, otrzymywała mieszkanie na miejscu. W tym celu obok stacyjnych mają być zbudowane domy mieszkalne.

— Ministeryum komunikacyj nakazało zarządom kolejowym, aby zwracały szczególną uwagę na kwalifikacye naukowe i moralne prowadzenie kandydatów do posad niższej służby, na której spoczywa bezpieczeństwo pociągów.

— Na kolejach żelaznych posady dozorców drogowych bardzo często obecnie zajmują wychowańcy szkół technicznych lub innych zakładów naukowych, a ponieważ dozorcy zaliczani są do służby niższej, przeto naczelnicy dystansów i ich pomocnicy zwykle w rozmowie używają do nich wyrazu „ty.“ Obecnie główny zarząd dróg żelaznych wydał rozporządzenie, aby do służby wyżej wspomnianej tak w korespondencyi, jak i w rozmowie, wyrazu tego nie używano.

— Przy Cesarskiem Tow. Technicznem w Petersburgu otworzony będzie specyalny oddział aeronautyczny, który wyznaczać ma nagrody za różne ulepszenia i wynalazki w tym kierunku.

Zmarli. Lucyan Wrotnowski, adwokat w Warszawie.

— Dr. S. Jadassohn, pedagog i kompozytor muzyczny w Lipsku; żył lat 70.

Redaktor i Wydawca **A. Świętochowski.**

Дозволено Цензурою, Варшава 31 Января 1902 г.

Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.